



CUD PAMIĘCI

Epitafium na śmierć Marii

Henryk R. Kotas

Cud pamięci

EPITAFIUM NA ŚMIERĆ MARII

„CUD PAMIĘCI”

Jedenaście lat potworności życia, przeznaczenia,
świata i ludzi - z końcem na cmentarzu
gdzieś na krańcu świata w małej miejscinie
o nazwie Pszczyna – w Kraju Śląskim.

1948 – 2004

1993 – 2004

Henryk R. Kotas

PSZCZYNA 2013

WYDANO SUMPTEM AUTORA

**Z PRZYJACIELSKĄ POMOCĄ
TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
ZIEMI PSZCZYŃSKIEJ**

Skład: Kinga Kołodziej

Korekta: Barbara Kotas

Projekt okładki: Aleksander Spyra „Leszek”



Druk: Śląska Oficyna Drukarska
www.OficynaDrukarska.pl

ISBN 978-83-62674-34-3

POCZĄTEK

Początek był prozaiczny
Marii pękła pięta
na tysiąc krwawych ran
mnie pękło serce
na przeczucie przyszłych dni
i nocy oddanych
na pastwę...
powiedzieli:
stopa cukrzycowa
pokiwali głowami mądrymi
poszli
skąd przyszli
rozsiewać swoją mądrość
między diabetykami
na początku
na końcu ich drogi
w cierpienie nieokielznane...
zostaliśmy sami
z receptami do wykupienia
za pieniądze których nie było
od... do (!)

nic nie mówiłaś
zapłakana
wystraszona moją trwogą -
nadchodziło...
nie wiedzieliśmy jeszcze co...!

WOŁANIE Z CIEMNOŚCI

Pławię się w biedzie jak w bajorze!
słowa zawarłem w cichym skowycie
pomóż mi wielki, Panie Boże
znaleźć sposób na ludzkie życie!

dławi krtań beziła każdego dnia –
na ołtarzu bólu godziny swe kładę,
jeszcze chwila i ogarnie mnie szal!
nikt mi nie pomoże.

labirynt życia otworzył swe podwoje –
błądzimy zgodnie z moją ociemniałą EM...!
jej czarne w mrokach życie –
to moje wczorajsze chwile lśnień...

wiersz ułożyć siły jeszcze mam –
wiersz pełen ciepłego smutku...
biedzie i samotności zadać kłam –
szukać w nim przyczyn i skutków...

znoszę z pokorą co niesie życie –
zamiast płakać ja się śmieję
słyszę w mózgu czarcie wycie:
Twój Świat jutro oszaleje...!

RAZEM

Razem żyli -
razem szczęśliwi
razem nieszczęśliwi
razem głodni
razem syci
razem płakali
razem się śmiali
razem wielkość przeżywali
razem gdy byli mali

razem umierali
razem na drodze do wieczności
razem całe życie
za ręce się trzymali...

ZAPOMNIAŁEM

Zapomniałem ci powiedzieć
że wszystko było prawdą
co mówiłem albo mogło być –
ty nie zdążyłaś powiedzieć
czy twoje kłamstewka
z miłości rodziły się
by nie ranić i blizn nie rozdrapywać...

nasze myśli mijały się w ucieczce
od zła niedopowiedzeń
spoczywały potem w labiryncie
umysłów naszych szczęśliwe
że minął jeszcze jeden spokojny
dobry po ludzku dzień
na przedprożu jutra...

chciałem zdradzić ci swoje sekrety
rankiem po przebudzeniu od nowa –
słońce drzemało jeszcze leniwie
sąsiad zza ściany mordę darł pijany (!)
uleciały gdzieś myśli i słowa
świat zawalił się w oka mgnieniu –
zimne dłonie twoje serce głowa
zastygłe w eterze
z oddechem ostatnim wyrzeźbionym
w miłości naszej imieniu...!

WIEKO NIEBA

Jesteśmy ślepcami
Bóg obmacuje nas
swoim miłosierdziem –
wczoraj dudnił piach
o wieko nieba
i były łzy
i był zawał serca
dalej brak pamięci
budzimy się
pod nowym miłosierdziem
łaska w otwarte ślepe oczy

cisza
przed nowym
tym samym
kto teraz
następny

nowe wieko nieba
czeka...!!!

EROTYK PRAWIE DOSKONAŁY

Kochanie – to nie dotyk gołego ciała
kochanie – to napawanie się do woli
pięknem
brzydotą
tego co się kocha
tego co boli

miłość pierwsza i ostatnia –
jakież to uniwersalne słowa
pierwsza umarła
druga odradza się od nowa
serce odżywa
dusza zmartwychwstaje
człowiek wszystko wszystkim przebacza
i siebie oddaje

miłość –
w jądrze czasu i przestrzeni
tkwi w ostatnim człowieku
czas umierania i rodzenia
ludzi
gwiazd
nadziei
wiary
na wieki wieków...

GŁĘBIA ODNALEZIONA

Zanurzyłem się w głębi
twoich myśli
twoich marzeń
twoich pragnień...
spadałem coraz niżej –
tu wraki pogrzebane straconych dni
tam myśli umarłe i snów
tłumoczki niekształtne zastygłe
zimno poświaty idące od nadziei
gdzieś z góry...
wierzyłaś jeszcze w mój ratunek...

Dobrnąłem do dna wymyślonego
gestem twoich dłoni
perłami twego uśmiechu
pąsem lic w chwilach intymnych
słów wypowiedzianych szeptem...

Zanurzyłem się w głęb
całej ciebie
nie wiedziałem że zostanę tam
na zawsze
w swoim wierszu
o twoich myślach
o twoich doznaniach
o głębi odnalezionej po latach
w uwięzionej samotności...

KIDNAPER NIEBOSKI

Czyja to wola błąka się
po umierającym świecie
że można okraść nawet biedaka
z wszystkiego co miłością
z tego co serce bólem goryczy gniecie?!

Pamiętam ten dzień kaleki –
przyszedł nad ranem
skąd nie wiadomo: z nieba – piekła
zamknął twoje oczy
pazurem krogulczym
kidnaper nieboski z drogi
swej uświęconej zboczył
dopadł właśnie ciebie
wraży - wielkością swoją srogą...!

Mogłem siebie za ciebie dać
okup jakiś wymyślić z niczego –
zapłaciłem haracz za niewiarę (!!)
mógł zabrać moje alter ego...
duszę mogłem dać mu we władanie
ostatnie dni spieniężyć u czarta
nie dostrzegł mnie obok ciebie –
dusza poety dla kidnapera z Nieba
diabła była warta...!!!

W ŚRODKU NOCY

Nikt nie wie jak bolesny jest ból
dotykany niewidomymi palcami
w środku nocy bez snów...
Otaczają cię szeleszczące cienie –
zapachy z kuchni, klozetu
dochodzą do zmysłów obietnicą...
Jakiś nerwowy człowiek w telewizji
zapowiada wojnę o pokój i wiarę w NIC –
widzisz w czerni bomby, krew i ból...
Chcesz zmienić się w ptaka,
aby odlecieć do lepszego świata,
o którym nie wiesz czy jest...
Ktoś podaje ci do ręki jabłko
obrane z łupiny jak z nadziei –
szkoda ci Adama i Ewy, i raj...
Czujesz na twarzy ciepło słońca,
ale jeszcze nie wierzysz, że to nie pożar
twojego świata ocalonego...
Dojmująca wiara, że ludzie są dobrzy
i bóg jest dobry – to wszystko,
w co chcesz wierzyć na przekór...
Ktoś wpycha ci łyżką strawę do ust –
dławisz się dobrocią tego człowieka
zbiera ci się na wymioty...

Nikt nie wie jak bolesny jest ból...
Nikt nie wie jak trwożliwy jest strach
przed nadchodzącą jeszcze jedną nocą
niewidomą...!

TANIEC ŻYCIA

Brakło Ojca – Matki – Ciebie
bliscy odeszli w zakamarki
stypy odprawione
wyschły łzy –
noce i dni odpłynęły
w powodziach i suszach
krwi hektolitry czas przetoczył
przez ciasne żyły
słowa modlitwy ucichły
szeptem zawozone –
myśli co tylko się dało
skrzątnie ukryły
w żalu daremnym...
rzeczy martwe nie ożyły
wspomnienia uśpione
w otoczce amnezji
groby się kurczą
zapadają
bóg coraz mniejszy
razem ze mną...

więcej nie mam nic do ukrycia –
wszystko zgubiłem
i siebie
podczas szalonego
tańca
ŻYCIA...!

DOTYK

Dotyk moich głodnych ciebie
rąk na obrzeżach
twojego ciała
milimetr po milimetrze
aż po krańce nasycenia
dobrnąłem do ostatniej
tkanki drżącej

potem odeszłaś naga
jak przyszłaś
bez echa i cienia
umarłaś cała
żyje tylko muśnięcie moich rąk
które zabrałaś
razem ze mną
do swojego Nieba
na granicy nocy
i dnia
naszego „Sądu Ostatecznego”...

W CIENIU CISZY

Można być dla kogoś początkiem
można być dla kogoś końcem –
czarną nocą
wschodzącym słońcem
miłością bez granic
litością pełną krzyku
co szczęście ma za nic
w świecie diabelskiego bełkotu
w świecie kataklizmów ryku...!
Można być dla kogoś dotykiem cienia
można być dla kogoś zapachem ziemi –
echem imienia
powrotem do korzeni
pod zimnym niebem pełnym obietnicy
na lepsze życie po drugiej stronie
roztrwonionego czasu...!

Można być dla kogoś wszystkim
można być dla kogoś niczym -
śmiercią i życiem
chłodem piwnicznym
mglistym gestem
po oddechu ostatnim – spojrzeniu
po pamięci uwikłanej w burzę strachu
że jesteśmy dla kogoś
tymi którzy rzucą pierwsi
ostatnią garstkę litościwego
piachu - pyłu gwiazdnego...!

KRÓTKA WIZYTA

Otworzyłem przed tobą drzwi -
weszłaś do mojej jaźni
chciałem ciebie
ty dałaś mi swój świat
bezradności
bólu
rozterek
tajemnic
bojaźni...

Otworzyłem przed tobą drzwi -
przyjąłem twój cień
w swoje progi
potem przyszła śmierć
drzwi zatrzasnęła
na głucho (!)
znikłaś
twoje ciało
twoje życie
twoje wszystko
twój umarły z tobą bóg...!

JOM KIPPUR

Byłem w środku niewidomego
świata ciszy i dotyku...
na skraju stopni błędzącą stopą
palcami chłodnymi na twarzy
rozgrzanej smutnym słońcem
byłem nagłym czymś i ulgą
że NIC się nie stało!
Nie pomogli ludzie w ciemności
i bóg zasłuchany w modlitwy...
wyciągnięte dłonie czekały
wspomagane słuchem – węchem...
odpływała zwiewnie
w klaustrofobię przepastnego
nieba niewidomych
ze stromymi ścieżkami schodów
chropowatych do czyśca!
Byłem tym który poczuł
zimno jej dłoni w swoich
byłem tym który usłyszał głos lekarza:
ONA BYŁA ŚLEPA?!

Czarny worek z plastyku!
Drzwi zatrzasnęły się cicho!
Zostałem w próżni...
Bóg czmychnął za nią
jak złodziej
przez dziurkę od klucza!

IDZIEMY

Idziemy
spacerkiem obok siebie
ręka w rękę
bok w bok
i nie wiemy:
jesteśmy jeszcze w swoim piekle
czy już w siódmym niebie
życie przepływa w nas
poza nami
z zapachem ludzi i kwiatów
czas chrobocze w naszych myślach
spojrzeć każe nam w tył
oddychamy cicho –
ja twoim
ty moim powietrzem...
wystarczy kilka oddechów
na pragnienia skryte
pozbawione winy – kary grzechów
idziemy
dojdziemy
jak wczoraj
jak dziś
do dalekiego jutra...

MÓJ BÓG

Mój Bóg jest inny –
nigdy ze mną się nie kłóci
niekiedy rozsierdzony
odchodzi z trzaskiem drzwi
by za chwilę powrócić...
patrzy w moje oczy głęboko –
czy przeszła moja złość
na życie na świat?
potem uśmiecha się szeroko
bo mnie nie trafił nagły szlag!
Spotkam się z Nim
nad grobem mojej Marii –
wiele pytań padnie bez odpowiedzi
nie dowiem się: dlaczego
tak młodo mi ją wziął
gdzie ona teraz
w którym kątku wieczności
pozaziemskiej siedzi?
Mój Bóg jest inny –
raz głodny raz syty jak ja
zamknięty w moim mózgu
klatce poezji...
bawi się ze mną
w „piekło – niebo” w „zaklinanie herezji
w „być albo nie być
w „modlić się albo wyć”

MÓJ BÓG JEST INNY...!!!

FOSA

Posłałaś mnie do ciucholandu
ubranko pierwsze synowi
do pierwszej komunii kupić –
kupiłem – czemu nie
potem klecha orzekł butnie:
komunii u was niet
wasz syn dla Boga miłościwego
za bardzo głupi...!

Zaiskrzyło jak grom
z przenajświętszego nieba
coś między tobą a Bogiem –
przyszedłem z roboty
kazałaś wykopać głęboką
na trzy ćwierci życia fosę
między nami a niebem
przed naszym progiem!

Jakie biedny wyjście miałem –
Kochałem ją nad życie!
Wykopałem!!!

ABRAHAM

Rok 1993 – Abraham – mój!
gościna na kotłowni
z każdym kieliszek
po trzech na zdrowie!
sto lat! – palce do gardła w WC
i...!
maszyna do pisania
przewiązana wstążką
bukiet kwiatów – pół setki barw
zapachów zmieszanych w aromaty
potem szpital codzienny:
Maria przytulona
Sto lat! Kocham cię!
za miesiąc będzie w domu
po połowie roku na tratwie
ratunkowej ordynatora Jarczoka
z siódmego pietra
pod chmurami z głodnymi ptakami
na zielonym parapecie...

wieczorem w domu –
napisać pierwszy wiersz dla niej
o niej - na maszynie prezencie
z dobrego szczerego serca
oto on...

TWORZENIE

Ktoś przesiał przez palce krogulcze
wszystką ziemię
wszystkie gwiazdy
wszystkie rzeczy

ktoś góry uczynił górami
doliny – dolinami
ktoś rzucił myśl
ktoś ja podjął

Siewca wszechpotężny nie czekał na plon
machnął ręką na świat
na człowieka
na dom
w którym w jednej sekundzie
i Życie
i Śmierć...!

NIE ZABIERAJCIE

Nie zabierajcie mi mojego strachu
ukrytego w czterech kątach
klatki mózgu...
coś wychodzi naprzeciw –
pełźnie bezszelestnie w dzwonieniu
ciszy w uszach
potem znika gdy dotykam
ran niewiernego Tomasza...
zapach wódki
potu
łzy wystraszonej żony (!)
dotyk mokrego ręcznika na czole
ból wątroby
myśli skacowane:
JUŻ NIGDY...!

Tylko wariat może spojrzeć
bez lęku na swoją twarz
w pijanym lustrze –
albo ślepiec!



Czechowice Dziedzice 1966 r.
„Co Bóg złączył...”

ŚLUB CYWILNY

Ślub cywilny!
Tort weselny...
Baniak okowity...
Stres „młodego” stabilny...
U teściowej zgrzyty...
To już drugi dzień
Harmider piekielny...
Coś tu jest nie tak –
O czymś zapomnieli!
No bo gdzie się podział
Ślub kościelny...!!!

W POŁOWIE DROGI

W połowie drogi do wieczności
zgasło jej słońce
płomień w duszy -
w połowie drogi ku nicości
znalazła się w zimnej głuszy!
na krzyk zdławiony brakuje sił -
w pustych źrenicach potworny strach
że zbudowany z godzin i dni
runie na głowę świata dach...

W połowie drogi ku ciemności
znikły symbole wiary
niewiary!
bóstwo umarło w zranionej miłości -
odeszła w oparach winy i kary
za grzechy nigdy nie popełnione
za chęci dobre
za zamiary nieśmiałe
za życie na pół przetrawione
za apatię trwożliwą
za łzy w gardle słone....!!!

DWA ŚWIATY

Umarła wybitność – tuz
świat płacze
bez płaczu ani rusz
kazali łyż ronić
więc świat roni swój kwaśny deszcz –
po plecach przechodzą ciarki
światowy dreszcz...
wybitność – tuza pochowali
wielcy stali się mocarniejsi
nie liczą się już wcale mali!

Umarła twoja żona
nikt nie rozdzierał szat nad mogiłą
ty tylko płakałeś – świat milczał
twoja rozpacz i ból
twoją jedyną siłą...
ty tylko zawał przeżyłeś
ty w puste niebo zamiast modłów
klątwy bez słów rzuciłeś!
świat milczał okrutnie
choć powinien przemówić
rozpaczy twojej krzykiem
świat obojętny
jesteś przecież tylko nikim...!!!

MIAŁEM CIEBIE

Nie miałem tyle szczęścia
co ty –
ale miałem ciebie...
Nie miałem tyle spokoju
co ty –
ale miałem ciebie...
Nie miałem tyle ciszy
co ty –
ale miałem ciebie...
Nie miałem tyle pokory
co ty –
ale miałem ciebie...
Nie miałem tyle cierpliwości
co ty –
ale miałem ciebie...
Nie miałem tyle miłości
co ty –
ale miałem ciebie...
Nie miałem tyle ciepła
co ty –
ale miałem ciebie...
Nie miałem tyle czułości
co ty –
ale miałem ciebie...

Nie miałem z ciebie
co w tobie –
ale miałem...
Nie!
to ty
miałaś
mnie...!

WIEM

Wiem
nic we mnie nie zostało
kiedy odeszłaś na drugą stronę –
szukanie sensu daremne
w pustych dniach
szamoczą się myśli na smyczy
zamykam oczy –
obraz twój przychodzi
w oparze
po łzach – bólu
i znika...

Wiem
gdyby nie to że wiersz
mogę czasem napisać
o Tobie
kiedy tak bardzo tęsknię
byłbym jądrem NICOŚCI...!

TWÓJ STRACH

Bałaś się pająków i myszy
każda kobieta się boi
każda inaczej –
inaczej nie byłabyś kobietą
która nie bała się
tylko mnie
moich myśli
moich słów
moich powrotów...

bałaś się swego strachu
przed burzą
błyskawic za oknem
w koronach dębów –
każda kobieta się boi
każda inaczej...

Byłaś piękna!
twój strach był zwierciadłem
niewinnej duszy
o pół kroku przed ścianą mroku!

NIECH JASNOŚĆ SIĘ STANIE

Niech jasność się stanie!
nad głowami naszymi tyle chmur –
tyle pomiędzy nimi gwiazd
a my dusimy się własnym zapachem
z pustką w oczach pełnych kosmosu!
trzymamy się kurczowo wiary i nadziei:

nędzy swojej
chorób cywilizacji
nienawiści bliźnich
kołtuństwa ustrojów
szowinizmu sąsiadów
obłądy bigotów
oszustwa sprawiedliwych
zdrady kochających
miłości nierdzewnych
głodu i przesytu
wolności i niewoli...!

Niech jasność się stanie!
odchodzące myśli trafiają nie tam
gdzie nasze pragnienia...
nikt już nie płacze nad tymi
co wczoraj uciekli zdradziecko
do piekła do nieba
przed naszą miłością
przed naszą dobrocią
przed nami – poza nas...!

Nawet nasze cienie
podniosły bunt niemo – jawny
ukryły się wraz ze słońcem
za burzowymi chmurami...

TRWANIE W MROKU

Jasność się nie stanie!
nadzieja jeszcze – iskierka ułudy
modlitwy żarliwe na głodno
liczenie godzin
i pytania:
dlaczego tak ciemno?
dlaczego tak mroczno?
czy to już noc? czy jeszcze dzień?
pozostał dotyk ciepła
pozostała woń potu
pozostał strach przed...

Jasność się nie stanie!
niech mrok odpłynie z oczu
niewinnie skazanych na trwogę
klaustrofobii w ścianach klatki
obwieszanej nadmiarem świętych symboli!

Jasność się nie stanie!
nie pomoże dobry bóg pełen niemocy –
życie w mroku tylko nieśmiertelnych
nie boli...

WCZORAJ

Wczoraj było tak piękne wszystko –
ludzie dobrzy i dobry Bóg!
drzewa i rzeczy!
słońce świeciło dla ciebie i świata –
kwiaty pachniały kwiatami...
dziś nie wiesz już nic, ale wiara
kołacze się w tobie
że to może tylko taki sen...
winda za ścianą skrzypi starością
od gór z południa nadchodzi burza
z błyskami i strachem przed gromami
przed jeszcze jedną nocą niewiadomą...
gdzieś na dole krzyczy syrena karetki –
przywiozą nowego jeszcze nie trupa
kilka łóżek wolnych przed bankructwem
śmierci zmęczonej ludzkobraniem...!

jutro wyjdiesz do życia!
jutro wyjdiesz do ludzi!
jutro wyjdiesz do słońca!
jesteś przecież jego promyczkiem...!

ROZMOWA Z CIENIEM

Kim jest teraz z wiecznym mrokiem
w źrenicach moja EM?
dla której tworzę rymy żałosne...
gdzie jest w niej bólu ostatnia granica?
nadziei
miłości
kraniec gdzie?!
łzy mojej Marii będą jutro kryształowe –
dotyk jej dłoni będzie tchnieniem
każdy gest krzykiem – słowem
każde potknięcie – miłowym kamieniem.

W wędrówce do pogodzenia z losem
w ucieczce w nieporadne śmieszności –
szukać będzie zapomnianych ciosów
potwora równego przemijaniu czasu...
w jaskini wiecznych cieni
tylko ten wrogi pogłos
brak przestrzeni
i zapachy ulotne...
diabeł i dobry bóg nic już nie zmieni –
nic nie wleje światłości
do pustych
bólących
źrenic!!!

BYŁAŚ DLA MNIE

Byłaś dla mnie
rzeką
z której czerpałem szum wody
słońcem
dającym ciepło przytulne
wiatrem
osuszającym łzy i pot
dnem
kiedy wstawałem po nocy
nocą
u twego boku w snach
goryczą
gdy zamilkły twoje oczy
rozpaczą
po zrozumieniu bezsily

Byłaś –
od wczoraj
zamieniasz się
w proch
z którego powstałaś
tylko dla mnie...

EROTYK – MEMENTO MORI

O czwartej nad ranem
tuliłem w swojej dłoni
dłoń mojej żony
choć bez ślubu kościelnego (!)
wtedy poznałem śmierć
pознаłem co to bóg
co zimno doskonale
odeszła po raz ostatni
cichutko skromnie
drzwi zostawiłem otwarte
otwarte serce gołębie
by mogła powrócić do mnie –
póki co rozmawiam z bogiem
krzykiem w niebios głębie
wiara nadzieja ułuda
rozwiały się w nicości
od czwartej nad ranem
raz miłość raz nienawiść
raz życie raz śmierć
w sercu i duszy obumarłej
nieprzerwanie bólem gości

o czwartej nad ranem
pożegnałem na wieczność
przebrzmiały obraz jej istnienia –
ze świata i człowieka
losu ślepego i przeznaczenia
nic nie zostało
dusza tylko bólem rozedrgana
szuka w niebycie
wszechrzeczy okrutnego PANA !

KRTAŃ ZDŁAWIONA

Powoli stawiasz kroki –
czekasz
cała zamieniasz się w słuch
zachłanny węch
oczekiwanie
jasność
którymi jesteś sama w sobie...!
Twoje oczy światem puste
świecą blaskiem
dalekiego pragnienia
które rozumie tylko ten
kto pamięta
że jeszcze wczoraj
były to oczy ciche tylko
gdy sen...!
Nie oczekuj dotykiem
całego mnie
nie oczekuj węchem
mojego zapachu
nie oczekuj krzykiem
mojego milczenia
nie oczekuj we mnie
świętości ludzkiej...!

Ja Cały Jestem Tobą...!!!

DZIEŃ ZA DNIEM

Śniadanie
obiad
kolacja
za ostatnie grosze bywało
prawie z niczego –
dobrze garnki się myło
bez grama omasty
dobrze potem spało
w żyłach bez cholesterolu...
byłaś smutna cierpliwa
na jutro lepsze czekałaś
czasem było
częściej nie –
twoją przystanią „Radio Maryja”
potem nerwy stargane
psychotropy wieczorem...
przeklinałaś nie swojego ojca
Rydzika guru
za swój zbolały mózg
utrata wiary nadziei ułudy
nad miską postnego żuru...
nie ma „radia Maryja”
ojciec dyrektor zgłupiał do reszty
nie parzysz palców przy kartoflance
nie cierpisz już (!)
przegrałaś z życiem ludźmi bogami
znieczulica dokonała spustoszenia –
FRANCE...!!!

OCZY PEŁNE NIEBA

Wiotkie dłonie są skrzydłami
ociemniałych oczu –
przez palce przepływa kosmos strachu
o twardości tego co nie napotkane
na drodze do klitki czasu i ciszy...
Świat umyka spod omdlałych nóg
na boki czmycha fala pewności
że jeszcze jeden krok bezsilny
i dojdziemy za zapachem
do zapamiętanego świata światła...
Żal! żal wielki do boga i ludzi:
za jakie winy? za jakie grzechy?
ojców czy swoje popełnione bezwiednie
w czasie przeszłym
teraźniejszym
przyszłym...?!

Ta noc wieczna! ta zimnica serca!
ten łopoczący obumarły bezruch
na ślepym zegarze pokuty...

MÓWIŁAŚ

Ty to wiedziałaś –
mówiłaś:
za dobrze jest
coś się stanie
i znów skończył się dzień
dobro nie trwa wiecznie...

Ty to wiedziałaś –
mówiłaś:
niebo się wypogadza
myśli weselsze
dzieci nie płaczą
zło odeszło...

Ty to wiedziałaś –
mówiłaś:
kiedy umrę cała
nie płaczcie
będzie wam dobrze
czasem źle...

Skąd ty to wiedziałaś?

JESTEŚ

Jesteś jak statek bez steru –
rzucona na pastwę mgły wszechogarniającej!
jesteś jak liść osiki niesiony wichrem
rozhisteryzowanego czasu
bo oto jeszcze jedna dusza
jeszcze jedno serce
odchodzą w mroki ludzkiego piekła...!

nie płacz! nie krzycz! –
ja będę płakał za ciebie
ja będę krzyczał za ciebie
w niebo moimi oczami
które jutro też zgasną
pod bezlitosnym spojrzeniem
potwornego „miłosierdzia”
Ślepego Losu...

NIE MA CIĘ

Ziemia cię przygarnęła
urodziła cię od nowa –
nie ma ciebie
a jesteś wszędzie:
w ziarenku zboża w łanie
kroplą rosy na płatku róży
obłoczkiem nad moją głową
podmuchem wiatru na skroni oszronionej
listkiem na fali rzeczki leniwej
trawą z konikiem polnym zielonym
kropką na skrzydełku biedronki
zapachem miodu w ulu pszczelim
chwilą przed wschodem słońca
mgieniem przed zachodem –
nie ma ciebie
a jesteś wszędzie!

Jestem szczęśliwy
bo wiem o tym
od zawsze.

WIZYTA PO PÓŁNOCY

Przypłynął do mnie obłoczek
kwieciście przeźroczy
mojej Marii –
ja na ciebie patrzę powiedziała
na twoje kroki
na liście żółte deptane
w twoje oczy pełne szukania
ja czuję cię swoim cieniem
póki żyjesz powiedziała
żyj
nie uciekaj od siebie
w świat bólu
w świat smutku
jestem z tobą powiedziała
kiedy wiersz piszesz
na starej maszynie
jedna czcionka kuleje
jak pijak w ciasnych butach
siedmiomilowych
nie pij tyle kawy powiedziała
nie pal
nie pij za dużo piwa powiedziała
nie zapomniała –
odeszła – odpłynęła

może jutro znów pojawi się
obłoczkiem przeźroczytym
duch mojej Marii -
patrzeć jak piszę nowy wiersz
o nie zapominaniu...

MODLITWA

Wali się na głowę ziemia
i modlitwa głucho niema!
Ciebie nie ma!!!

Szukałem do ciebie
w świecie swoich ścieżek
szukałem zagubionych dróg –
myślałem złudnie:
jeśli niebo jest ponad głową,
to jest w nim dobry Bóg...!

Została czarna mgła po żałobie –
daremnie stracony czas pogoni
za wiarą w dobroć boga szczerą...
nie ma już sił w pustym sercu
w oszukanym naiwnym gestem
krzyża bezsilnej dłoni...!!!

ULICA DOLNA

Pokoik trzy na trzy
dwa kroki w przód
trzy kroki w tył
pamiętasz:
tak człowiek biedny żył
blat wysuwany z kredensu
jako gościnny stół
łóżeczko dla małej
wózek dla mniejszego –
czaiły się w tych ścianach
naszego życia miłość
i śmierci twojej alter go

różne losu koleje
przeplatały lata
naszych małych wzlotów
bolesnych upadków –
Bóg zabrał mi ciebie
jak zbieracz haraczu
nie dałem mu na wieczność
okupu – zadatku!

OBRĄCZKI Z TOMBAKU

Obrączki z tombaku
a jaki skarb!
za nic perły i brylanty
szły z nami pół życia
aż do zatracenia
nie wiadomo kiedy
nie wiadomo gdzie –
może wróciły skąd przyszły
w swoje życie
platynowo tombakowe

zostało fotografii kilka
nieco pożółkłych
wytartych w rogach
zębem złego i dobrego czasu
napoczętych
w licznych przeprowadzkach –
to „wilczy bilet”
to eksmisja na strych zapluskwiony
to rodzinna nagonka
na ślub kościelny
którego nie było (!)

żał obrączek z tombaku –
w myślach razem splecione
symbolem życia mojego
śmierci twojej
tego co już skończone...



15.10.1966 r. Czechowice Dziedzice
Ślub cywilny autora z Marią

CAŁYMI DNIAMI

Modliłaś się całymi dniami
żarliwiej od Papieża – Polaka
o iskierkę jasności w żrenicach
o ulgę w bólu nieposkromionym
nikt cię nie wysłuchał –
Bóg był głuchy
liczył srebrniki judaszowe
na dziwki poszły wszystkie demony!
Radość życia zmieniła się
w drapieżną katorgę
miłość wpadała niekiedy
w sidła nienawiści
skarga łzami bez słów
znieczulicę uprawiali ludzie
wyzuci z uczuć
dla swej szatańskiej korzyści...
Zostałaś sama w swoim mroku
i ja przy tobie bezradny
bez krzty siły –
jak ty to wytrzymujesz?
pytali
jesteś aniołem!
cmokali z uznaniem z zachwytu
to było wszystko –
cała pomoc „wspólnoty”
wspaniałych sąsiadów katolików!
A ty zanim przyszedł koniec
modliłaś się nocami dniami
o śmierć
nie krzykiem – już tylko łzami!!!

BEZ DATY OD... DO

Wdrapałem się z tobą
na nieoczekiwanego szczyt –
raz było dobrze
czasem przykry zgrzyt
jakoś to wszystko szło:
na wozie – pod wozem
nie było kobiet śpiewu
stłukło się szkło (!)
skułaś mnie miłości powrozem
bez daty od ... do!

Wszystko prysło nagle
jak mydlana bańka
wiatr przestał dmuchać
w nasze „żagle”
życie to nie wańka wstańka!
miłość zostawiłaś
w ślepym zaułku
przywiązanie puściło
w popręgach –
nikt mi tego nie powie
ile może znieść
normalny człowiek?!

Nie pomogło niebios błaganie –
kiedy – dlaczego - gdzie odeszłaś
tak młodo nieoczekiwanie...?!!!

NAJBOLEŚNIEJ

Najboleśniej boli krzyk zamknięty
w niemych ustach!
Najczarniej słońce krwawi
w ociemniałych oczach!
Głód najdotkliwiej trawi trzewia
pustego serca!
Strach niedościgły w swej trwodze
oszałamia do szaleństwa!
Rozpacz nad utratą sensu podsycą
nadzieję w imię jutra!
Cisza okala wszystko kokonem
znieczulicy podlewanej nędzą!
Wieżyce wypukłe zatęchłych przybytków
bodą niebo w bezkarności!

Nikt nic nie widzi!
Nikt nic nie słyszy!
Nikt nic nie czuje! –
Każdy dla świętego spokoju
przez życie się snuje!

SZUKANIE ŚWIATŁA

Szukasz rękami drogi do mojej twarzy –
ileż zła świata pomiędzy twoimi
pragnieniami a moimi rysami z pamięci!
Szukasz swoim strachem ścieżki do serca
mojego zranionego od wczoraj...
Boga wzywasz gorącą modlitwą
wszystkich świętych
na wszelki wypadek
gdyby ta noc
miała trwać w tobie wiecznie –
i wierzysz! wierzysz! wierzysz!
To cała twoja siła w poranionym mózgu
której nie wydrze ci nic –
ni diabeł ni Bóg!
Przeznaczenie panuje tylko nad tym
co twoje z człowieka:
myśl z myśli...
wola z woli...
modlitwa która beziłą boli
do ostatniej chwili w mroku!
Krtień zalewają łzy goryczy
że tylko ty jedna na świecie!
Ale to nieprawda którą znasz ode mnie:
Tysiące takich jak ty
szuka drżącymi gestami dróg
do kochanych twarzy...

ŻEGLOWANIE KU CISZY

Popłynęłaś na swoim łóżku szpitalnym
niby wrak porzucony na środku
pustki pełnej ludzi
ku zrozumieniu niegodziwości
gdy patrzysz w brudne okno
na szarość smutnego dnia...
stara kobieta obok ciebie umiera
na odchodzący czas w dzieciństwo –
ona jeszcze nie wie
ty znasz tajemnicę śmierci
która nie jest tajemnicą od wczoraj
gdy z ostatnią kroplą glukozy
zderzyłaś się z życiem!
dziura drzwi wchłania światło korytarza
zapachy kuchni – stukot misek
jakiś cień nagle – to młody ksiądz
ogłupiały od bólu nie swojego
przyszedł rozgrzeszyć cię z grzechów
których nie popełnisz nigdy (!)
serce daje ci jeszcze znak
że życie to tylko życie – pod niebem
na siódmym piętrze gdzie dolatują
ptaki w porze kolacji –
żebrzą odruchów chleba jak ty
zerwania tej czarnej ciszy
w tobie i wokół ciebie!

Historia prawdziwa rodziny Matki Marii: Bielsko – Biała

Najpierw zginął syn młodszy
w Kuwejcie
w wyścigu szczurów za pieniądzem!
Po nim synowa pod samochodem –
droga była pijana!
Po niej wnuk –
zawał bez litości!
Za nim podążył starszy syn
pod płótem w środku miasta -
we krwi cztery promile!
Po córce Marii nie miał kto umierać
pół wieku życia i trochę -
nieszczęście!
Zachorowała w kraju zawoalowanej
świętością eutanazji
zwanej potocznie znieczulicą...!!!

Staruszka matka została sama
pierwsza i ostatnia
nie na długo –
znalazła innego staruszka
nie na długo –
odeszła ostatnia
zielonoświątkowi zaśpiewali
na pożegnanie...

Próbował ogarnąć świat
 i zwariował na pół jaźni...
 próbował zrozumieć ludzi
 i zabłądził w gąszczu nienawiści...
 próbował uwierzyć w bogów
 i zdziwaczał aż do nawiedzenia...
 próbował zawracać myśli wstecz
 i skowytał w bezsilności...
 próbował naprawiać błędy ojca
 i baty brał nie zasłużone...
 próbował dobrocią zastąpić zło
 i rany leczył lizaniem łez...
 próbował wszystkiego co dobre i złe
 i nie doszukał się rozgrzeszenia...
 próbował głód zastąpić przesytem
 i poznał co to upokorzenie...
 śnił na pijanej jawie –
 ból głowy i jelit doskwierał...
 nazwisko zmienić chciał na lepsze –
 opluwali go za bezczelność...
 sobą chciał być od jutra –
 za półgłówka wsiowego został...
 iść w przód potem w tył –
 ręce łamał i nogi...
 krzyk usłyszeć chciał w ciszy –
 doszło go echo ciszy w krzyku...
 znaleźć granicę przemijania –
 brakło mu kilku oddechów...
 pomodlić się w ostateczności –
 klątwy wypełzły z jego trzewi...
 drzwi chciał otwierać siłą woli –
 guzy nabijał na mózgu zbolałym...

chciał! próbował! chciał!!!
 potem napisał wiersz wcale nie poetycki
 o samym sobie
 bez CIEBIE...!

EROTYK NIEWINNY

Plama krwi na bieli przeczystej
prześcieradło w dzikie róże
mozaika łez na poduszce
zasłuchanej
w szeptu oddania na wieki
co Przeznaczenie połączyło!

Brama życia otwarta -
na oścież w horyzonty
pełne ciszy
niespodzianych burz
na drodze do nadziei
gdy wiary zabraknie –

Krew zmieniła barwę w uśpioną
łzy zamilkły zmęczone bólem
wspomnienia pozostaną...

ZIMNY DOTYK ŚMIERCI

Pociągnęła mnie w rozpacz
wezbraną żalem toń –
śmierć przyszła nagle
gdy Marię jak każdej nocy
trzymałem we śnie za dłoń...
zimno wdarło się w duszę
bezruch jej pulsu
brak oddechu ust
do posiwiałych skroni
w skardze niemej przytulonych!
Śmierć przyszła przed Bogiem
wszechmocny stracił całą moc...
pozbawił mnie wiary
nadziei – miłości
świadectwo dał mi dozgonne
swej wielkiej znikomości...
Śmierć odeszła bez pożegnania
wraz z Marią bez ducha
Bóg zapadł się w niebytu
chaos dzwonów fałszywych!
pościel wystygła
ból wtargnął nagle –
wróciłem do żywych...

Choć w nic już nie wierzę
życiu w samotności się poddam –
z uludą bogów jutro się zmierzę!!!

BEZSILNOŚĆ

Odwracasz się
za twoimi plecami pozostaje
na zawsze
nie ginie
czasami wwierca się w mózg
próbuję dotknąć cię
znienacka
przypomnieć o dniu
wczorajszym sprzed cienia
ukrytego za firanką żalu

Odwracasz się
ten ból nie chce umrzeć
wlecze się za tobą
do wszędzie i nigdzie -
do kościoła co w tobie
niech to szlag!
krzyczysz
odszedł na chwilę
ale był
trwał
do
Twojego
jutrzejszego końca...!

JAK SMAKUJE

Powiedz mi:
jak smakuje tajemniczy ból
gdy cicho się umiera?
jak czuje się nagą pokorę
kiedy okruchy życia się zbiera ?
odruch serca które ustaje
puste trzewia –
człowiek już się nie naje
słońce daleko od ślepego wzroku
gwiazdy umknęły z marzeń
wrzask świata dogmatem się staje
by w NIC zmienić się absolutne –
wieczny ciąg codziennych zdarzeń...

Łańcuchem przymusu przytwierdzeni
do opoki życia – wiary i nadziei
w poszukiwaniu Boga
w pragnieniu chleba i wolności
trawimy czas i przestrzeń
na granicy mocy i bezsiły –
trzeszczą starością łamane kości
skronie troski siwizną przyozdobiły...

Jak smakuje gorzycz litości
z czary pełnej znieczulicy?
gdzie granica miłości i nienawiści?
błogosławiony spokój mogiły –
w oku cyklonu cisza najgłośniejszy ryczy...!

NADCHODZI

Nadchodzi dzień, kiedy wszystko
przestaje być ważne –
czyny tchórzliwe...
słowa odważne...
to, że byliśmy kiedyś syci,
wyspani, uśmiechnięci
święconą wodą obmyci
że matkę mieliśmy i ojca,
i siostrę, i starszego brata –
nadchodzi dzień, kiedy los
oddaje nas we władanie
ostatniego tchnienia – kata!
Ktoś znajdzie te słowa –
powie zdziwiony, że to wiersz
przeczyta i odgadnie, że bez sensu,
sięgnie po flaszkę gorzałki
do pustego kredensu,
by wypić z żalości
może z uciechy,
że wraz ze mną
skończyły się jego
pierworodne grzechy...

Nadchodzi dzień. Kiedy...
Nadchodzi dzień...
Nadchodzi...
Cisza...
Ci...
Sza...

NIKT

Nikt nie rodzi się dwa razy
dwa razy nikt nie umiera
przychodzi z nikąd
do nikąd odchodzi
cichy i nagi
rozgrzeszony z samego siebie
odpływa po chwili
nawet z pamięci
tych którzy wyrzekli się go
w godzinie złej
w imieniu czarta
w imieniu Boga!

KAŻDA DUSZA

Każda dusza ma swoje morze
i swoje lądy
po których nie pływały statki
nie chodzili ludzie...
morze sztormów i ciszy
lądy suszy i powodzi

gwiazdą nad tym dziwem jest
znicz miotany podmuchem wichru
a lasem z zimnym cieniem –
bukiet kwiatów polnych
w słoiku z gnijącą wodą
w której utopiła się mysz

krzyż ubrany w zeszłoroczne liście
starego dębu –
aniołek ,marmurowy
z urwaną głową
ślady mrówek na mokrym betonie...

To wszystko
i pamięć
obumarła!

MAJÓWKI NAD WISŁĄ

Lubiłaś majówki nad Wisłą
gdzie łownica kończy
swoją leniwy bieg
uczyłem pływać naszych malców
były piski - chlapanie wodą - śmiech
piekłaś nad ogniskiem kiełbaski
ja z pociechami ukradkiem
nie głosząc tego świata
zmywałem na środku rzeki
z rodziny naszej
pierworodny grzech...
Potem przyszły koleje losu
koło fortuny bez szprych
twoja choroba bez końca
zmarszczki na twarzy
siwizna włosów
ja – potem ty
mgła na twoich oczach
opar wokół słońca...
Został po tobie pusty fotel
życie samotnika
pełne znojnego niefartu
niebo zasnęła beznadzieja
wiara została – cóż z tego?
Śmierć bywa litościwa...
Życie nie zna żartów...

TO JA – TO TY

Każdy mój nowy wiersz
to ja – to ty
zamknięty tajemnicą
w sobie
rozlany lawą gasnącego
wulkany niewiary
to ja – to ty
uwikłany od zawsze
czasem starzenia
to ja – to ty
poza sobą rozerwanym
łańcuchem tajemnicy
na pulsujących skroniach
to ja – to ty

w wieczność skromnie wszedł
w moim wierszu ostatnim
który oby się nie narodził
jak ja i ty...!

RZKA NASZEGO CZASU

Rzeka naszego czasu wysycha
duchy strachu oplatają ciszą
skronie oszronione –
to my!
jesteśmy czasem
i rzeką
i strachem
zrodzonym by umrzeć
w niepamięci...

Słowa ukryte w krzyku
nic nie kosztują – nie warte
oddechu i myśli
odnalezione na końcu drogi
okazują się świadectwem
pustki i głodu...

Rzeka naszego czasu wysycha
bez źródła i ujścia –
bez brzegu lewego
bez brzegu prawego
w nas bez naszej woli
z śmiercią zostajemy sami –
nie ma odwrotu
topiel otwiera wieko wieczności
nad naszymi głowami...!

MÓJ DOM

Mój dom -
miał cztery ściany
strop nad głową
podłogę pod nogami
okno na świat
drzwi otwarte...

mój dom -
miał serce z arytmią
duszę szukającą
i to coś z życia
i to coś od śmierci...

mój dom -
to był mały raj
czasami niebo
niebo zasłaniał sufit
piekło odgrodziła podłoga...

mój dom -
to był dom prawdziwy
z myśli i słów
z wiary i nadziei
ze szczęścia i nieszczęścia
z łez i uśmiechu
kiedyś

kiedy
jeszcze
żyłaś...!



1978 Jeszcze w Czechowicach Dziedzicach
Maria z Basią

SPACER

Kupiłem ci czarne okulary –
różowe wrzuciłaś do kosza
na rzeczy niepotrzebne
do ręki wzięłaś laseczkę
z włókna szklanego
rączka z rogu jelenia
mojej roboty
i poszliśmy...
spacer tą samą drogą
co wczoraj – przedwczoraj
przed miesiącem
gdzie nigdzie zaszczekał pies
auto przejechało obok nas
pijak klócił się z chłystkami
o szluga czy coś tam

na końcu drogi wiedziałaś:
musimy wracać z powrotem
taki dobry miałaś słuch
chwyciłaś mnie za dłoń
poprowadziłaś do domu -
gdzie ty miałaś nitkę Ariadny?!

PAMIĘĆ

Pamięć – to płytkie bajorko
trącane wiatrem amnezji
pamięć – to chwila niewiary i wiary
z czadem niemej herezji –
gorycz w człowieku na samym dnie
nikt nie wie kiedy dlaczego gdzie?
niekiedy zmienia się w uśmiech losu
czasem w dziewiczy gniew
który jak żagiel pcha nas do zguby
ślepo szaleńczo przez gąszcze zła
by potem stracić wszystko
co po ludzku człowiecze
i zostać z niczym sam na sam...!

JEJ DUSZA

Byłem przy łóżku, na którym
śmierć się rozgościła
dusza jęczała z bólu
ale jej nie widziałem –
do nieba się sposobiała...

jedno westchnienie –
w oczach mgiełka odchodzenia
białe fartuchy w spłoszonym biegu –
po co?
miała być cisza
miało być skupienie
miało być...
jak?

smutne zostało puste posłanie
oczekujące na nową duszę
na nowy ból
na nowy jęk
na nową mgiełkę w gasnącym wzroku...

kto to będzie?
po tobie u mojego boku
nowa śmierć cichutko
usiądzie...!!!

KTOŚ MÓWIŁ

Ktoś mówił mi o śmierci
że idzie się do Nieba –
ja w to nie wierzę
choć wierzyć trzeba (!)
najpierw serce jak zranione zwierzę
potem strach
po strachu ulga...
nad głową dach ze zwiędłej darni
gdzieś z boku cień świata
z lewej strony płacz
co rozpaczą się karmi!

Ktoś mówił mi o śmierci
że idzie się do Piekła –
i myśl ta (Bogiem, a prawdą)
grzesznie mnie urzekła...
cisza nad mogiłą
nie ma fałszywego orszaku –
popisuje się pogańskim słowem
mistrz ceremonii pogrzebowej...
wiatr nad mogiłą zakwili
deszcz cichutko zapłacze
tak chce ślepy los -
wszystko co złego w człowieku
zrobili więksi od nas partacze!

WĄSKA ŚCIEŻKA

Wąska ścieżka
pomiędzy nocą a dniem
pomiędzy wczoraj a jutrem
pomiędzy ciszą a krzykiem
pomiędzy płaczem a śmiechem
pomiędzy bólem a szczęściem
pomiędzy trwogą a rozkoszą
pomiędzy dzieciństwem a starością
pomiędzy życiem a śmiercią...!

Budzimy się drżący o świcie –
to był sen (!)
to była tylko walka myśli
dobrych i złych
o jutro
które nie nadejdzie
i TY...!!!

NA SZCZYCIE

Jesteśmy trzy kroki od szczytu
jeszcze dwa
i wiemy co tam będzie
jeszcze krok
i wiemy co tam jest (!)
stoimy na krawędzi życia
przerażeni widokiem
niespodziewanym w swoim ogromie
białej pustyni przemijania...
nad nami czarne chmury i wiatr
w gałęziach drzew
naszych kości...!
Chcemy zejść na dół – coś nas trzyma
na uwięzi naszych myśli i oczu –
dłonie łakome wyciągają się
po jeden dotyk nieba
zbrukane życiem
i stearyną pożałowanych świec...!

Nic wokół nie ma – ptaki nad nami
jak listy nie wysłane nigdy
płyną do nas przywabiając obrazy
świętokradczych modlitw jałowych
do NIKOGO
o NIC !

PO BURZY

Po burzy nastaje cisza wystraszona -
po sytości głód trawiący
sam siebie!
po wielkiej mordędze
niemoc leniwa!
myśl o piekle po mrzonce
o niebie!
po małych krzywdach
wielkie ich oddawanie
po dziesiąty korzeń pokolenia...

Żaden cud jutro się nie stanie –
woda już dawno trysnęła z kamienia!
dekalogu dwa skrzydła zwichrowane
nad światem rozłożą od nowa
swoją grozący cień
a ludzie ślepi - głusi – niemi
rozpoczną ucieczkę
od skowyczących pień
na chwałę oślepiającej jasności
depcząc po drodze swoje myśli
gruchocząc cudze kości...!

Zegar twój stanął w połowie drogi
pomiędzy wiecznością
a ostatnim oddechem
skruszonego życia.

NIE DOTYKAJ

Nie dotykaj moich rąk
gdy ku niebu wznoszę oczy
i duszę zmęczoną!
nie dotykaj moich rąk
zanim siła z nich nie uleci
do przodków zamierzchłych
do serc moich dzieci...
Nie dotykaj ust moich
gdy w noc szepczą sny
o kwiatach –
może jutro zamilkną?
nie dotykaj!
nie dotykaj ust moich
niech je z przekleństw
osuszy wiatr...
Nie dotykaj moich oczu
gdy słońce będzie zachodzić
w źrenicach –
niech najpierw odróżnię
piękno od brzydoty
niech najpierw odnajdą drogę
do mojej Golgoty!

Nie dotykaj moich wierszy!
niech dojrzewają dla umarłych –
nie dotykaj...
CZASIE!!!

CHCIAŁBYM

Chciałbym stworzyć cię od nowa
 podobną do drzewa
 co rośnie na wzgórzu
 byś mogła mi mówić
 czy słońce ma smak ziemi...
chciałbym stworzyć cię od nowa
 podobną do rzeki u stóp morza
 byś mogła szumieć sztormami
 i łkaniem mew z daleka...
chciałbym stworzyć cię od nowa
 podobną do chmury
 na czystym niebie
 byś mogła deszcz mi nieść
 i cień w upalne dni...

Chciałbym stworzyć cię od nowa
 jak pieśń – ciszę – kwiat
 tylko dla mnie jednego
 w ogromie świata...
chciałbym stworzyć cię od nowa
 ze snów – majaków – mgły
 ale nie mogę daremny trud
 bo we mnie pustka i TY...
 jak pieśń bez słów
 jak niebo bez słońca
marzenia tylko wczoraj i dziś
 zawsze! bez końca!

WENDETTA

Czasami było wesoło
na przekór wszystkiemu
i mimo wszystko –
nie zawsze było minorowo
głodno chłodno –
nie gasło nasze ognisko...
ja pisałem swoje wiersze
ty domem rządziłaś
każdy jak mógł grał swoją rolę:
od czasu do czasu szczęście
dopóki żyłaś
niekiedy gorzką niedolę...

Potem nadszedł ten dzień –
bólu - strachu twego kres
człowiek nie może wybaczyć
szatanowi i piekłu
Bogu i niebiosom
choćby w odwecie szczył...
zemsta bogów jest sroga –
daremnie oczekiwać dobra
od ślepego losu
i mściwego Boga...!!!

WYROK

Ty urodziłaś się dla mnie
ja dla ciebie!
zapisano to w piekle
czy wyryto w niebie?
drogi bez drogowskazów
ścieżki pełne potrzasków
dzieciństwo marazmu
głodu – wszy – wrzasków...

doszliśmy do siebie po omacku –
jak kiedy gdzie?
zrządzenie losu
czy bogów była to zachcianka?
kaprys przeznaczenia
skrzyżował nasze imiona
w dniu jak każdy inny dzień –
pękła między nami niemożności
niewidzialna błona
w jedno złączyły się
istoty na podobieństwo swoje
DWIE...!

Ty urodziłaś się dla mnie
ja dla ciebie!
umarłaś w kwiecie wieku
gdzie wyrok nieludzki wydano:
w piekle czy w niebie?!!!

JEDNO OGNIWO

Jedno ogniwo łańcucha
niespodziewanie pęka –
jak ty która odeszłaś (!)
rodzina w rozpacz i łkaniu
ja w niedowierzaniu się pętam
po świecie z pustymi drogami
my wiemy ale ty nie:
zostaliśmy przeciwko bogom
losowi – przeznaczeniu sami...

żaden kowal losu ślepego
na nowo łańcucha nie skuje –
choćbym miał wory złota
teraz kolej na mnie
śmierć życie póki co
łaskawie prolonguje –
ja czekam
czekanie na nią
to ciężka robota...

jedno pęknięte ogniwo łańcucha
a tak bardzo wiele znaczy:
w kręgu życia i śmierci
w kręgu bólu
żału
rozpaczy...!

WIERSZ KULINARNY

Nie znosiłaś wódki
ani w zapachu
ani w bulgocie –
czasami było trzeba
kieliszek dwa po kryjomu –
akurat miałem urodziny
obeszło się bez gromów...
dobra byłaś przy kartoflance:
na drugi dzień resztę zostawić
oszczędzić na węglu
łyżkę w zupie postawić
maggi się nie używało
żeby nie przesolić
nadmiar cukru i soli
zakołata w żyłach
zdradziecko zaboli...
uwielbiałaś mój żur
gotowany na smalcu ze słoniny
dzieciaki cmokały szczęśliwe
nie zapomnę niedowierzania
twojej miny –
Basia miała akurat pięć roczków –
na jej urodziny był żur
na wędzonym boczku (!)
deseru nie pamiętam

RÓWNA MNIE

W dni syte
w dni postu
w mróz
i w spiekotę
w ulewę przed powodzią
w suszę raniącą ziemię
byliśmy jednym oddechem
byliśmy jednym ciałem
jednym drgnieniem duszy
jednym „pierworodnym grzechem”...
ty spowiadałaś się mojej dobroci
ja szeptałem ci do ucha –
czasami Bóg
niekiedy diabeł
nasze tętno wspólne
naszą jaźń podsłuchał (!)

byliśmy na szczycie miłości
w rozpadlinach smutku i goryczy
bywaliśmy na rozpaczach dni
ale zawsze
byłaś
równa
mnie...!

NAD MOGIŁĄ

Bezsilny jest człowiek żywy
nad mogiłą zmarłego:
rozpacz atakuje serce
każdą komórkę zmęczonego ciała –
chowa się w nieświadomości
tchórzliwe alter ego
by jaźń rozdwojona szkody nie doznała...
pulsuje krew w żyłach niebezpiecznie
za chwilę lży znajdą ujście dla siebie –
dlaczego? czy to mus? tak trzeba?
przecież mieliśmy żyć wiecznie
z przystankiem na ziemi
w drodze do Nieba!
dół na dwa metry głęboki
na dwa metry długi –
czy to już łąki niebieskie?
kilka kropel wody poświęconej
melancholijnego boskiego sługi –
powiem: (w to zupełnie nie wnikam)
wołałbym innego pośrednika...
pomiędzy Bogiem a mną
otworzyła się pustka chaosu
myśli skowyczą – szaty drą
nad potwornością życia
przeznaczenia – ślepego losu (!)
znicz zapaliła drżąca ręka
głowa schylona by nie widzieć:
nadchodzi samotności męka!

WSPOMINAM

Nie ma czego wspominać – to złe
szukam w dniach i nocach
sprzed lat minionych
w swej pamięci na samym dnie
rzeczy dobrych
doznań przez zło poranionych
grzechów nikt nie bierze pod uwagę-
co to jest grzech? oto pytanie
Bóg ma swoją
szatan ma swoją wagę
człowiek nie wie co kładą na nie...
żyłaś byłaś cierpiałaś –
nadzieję miałaś
wiarę wraz ze wzrokiem straciłaś
byłaś żyłaś
jeszcze wczoraj – to mgnienie
szliśmy razem tu i tam
nie mogę cię dojrzeć –
poprzez te nad tobą kamienie
przez drętwotę bojaźni
że zostałem sam
na szczyt ludzkiego wysiłku
krok po kroku się wspinam –
zamykam serce i sumienie
dla Boga (!)
wspominam...
wspominam...
wspominam...

OSTATNIA KĄPIEL

Najgorsze były twoje kąpiele –
wchodziłaś do wanny
po omacku w świat wodny
pomagałem ci ile miałem sił
a miałem ich niewiele
byłaś szczęśliwa w swej czystości
macałaś wodę i jej ciepło –
jak potem wyjść z powrotem
wszystko wokół ciebie obce wrogie
brzeg wanny podłoga
życie też się wściekło (!)
w wodzie się wypoczywa
ty się męczyłaś
mydło a rąk uciekało
plecy ci myłem głowę intymności –
nie widziałaś mojej twarzy
nie było w niej wyrzutów
ale i radości...
przyszłaś czysta na świat...
czystość zachowałaś przy mnie –
miłość cię rozgrzeszyła
jak głód okruch suchego chleba (!)
czysta odeszłaś
do swojego NIEBA...!

OLŚNIENIE

Olśnienie!
bywało dzieliliśmy na dwoje
przyszły dzieci – na czworo
życiowe wesołości
życiowy horror
nazywaliśmy rzeczy nienazwane
nie znaliśmy rzeczy znanych –
wystarczyła świadomość:
ty byłaś kochana
ja byłem kochany...
dzień za dniem
miesiąc za miesiącem
rok za rokiem
na ślubie cywilnym -
ja „kawaler”
„panna” ty
rodzinna nagonka
kościół zamknął przed nami drzwi!
ile łez uroniłaś nad złem
płynącym z serc bliskich
nikt tego nie wie:
spojrzeń wrogich
obleśnych śliskich
przez lata – dzień w dzień...!

Ty wspierałaś mnie
swoją miłością
ja stałem za tobą
murem – obronnym ramieniem
twoje życie
było moim imieniem...

CIOSAM TOPOREM

Ciosam toporem słowa -
lecą wióry z furkotem
powstaje wiersz
sentencja
fraszka
aforyzm
o Bogu w dalekim niebie
o życiu bez pokrycia
o czekaniu na swój kres
bez Ciebie...
trudno znaleźć w sobie siły
do rymów
metafor cyzelowanych
dla darni nad Twoją głową -
cichości tajemniczej
Twojej mogiły...
ciosam toporem słowa -
myśli - sny - wspomnienia
o pięknie życia choć okrutne
o chwili na ziemi znikomości
jestem szczęśliwy!
jutro pójdę do Ciebie
przy Tobie doznam
swojej
cichości...

W „IRYSIE”

Wciągnąłem cię do „Irysa”
na pierwszej randce
siłą –
ciastko herbata – to ty
lampka wina kawa – to ja
serwetka długopis
to miał być wiersz
na gorąco
nie był (!)
trzymałaś mnie za rękę
wystraszona: tyle tu tych ludzi
przy stolikach (!)
nie mogłem pisać zakleszczony
pomiędzy twoim strachem
a palcami drżącymi

wypiłaś połowę herbaty
ja swoje wino – kawę
ciastko czekało na swoją kolej –
nie doczekało się
leżało smutne oklapnięte
na uszczerbionym talerzyku

wyszliśmy
nie pasowałaś do „tego świata”
powiem ci: ja też
z jakiej my przyszliśmy dżungli?!

OD POCZĄTKU

Diabeł z nami już w piaskownicy
we wszystko co możliwe
z ukrycia się bawił –
z tobą w Bielsku
ze mną w Dziedzicach
dawał nam zagadki – tajemnice
karmił suchym chlebem
kawą zbożową bez cukru
wzrostem nikczemnym
pięknymi za to twarzami
kiedyś dostrzeżemy to za późno
i obdzielimy się swoimi darami
diabeł z nami się bawił
pod okiem Boga dobrego –
postawił nas pod jedną chmurą
z burzami – gradem – deszczem
śmiał się swoją głębą ponurą
uczynił nas dozgonnie
mnie twoim
ciebie moim
spazmem – dreszczem (!)
diabeł z nami się bawił –
poszliśmy w gąszcz życia razem
ani ojciec - ani matka
Bóg i szatan
nikt nam nie pobłogosławił...!

SKRAWEK NIEBA

Były czasem trudne dni
w niektóre cicho
jak makiem zasiał
całowałem twoje oczy na zgodę
ty mnie –
kilka siwych włosów przybyło
doświadczenia życiowego
przed daleką starością -
tulilaś się do mnie
ramiona czekały niecierpliwie
z radością...

dziś zmarszczek nic nie ukryje –
żaden puder najlepszy krem
ból w krzyżu – zgagi po kieliszku
drętwoty żył po boczku...
co zostało?
wspomnienia – żytni chleb
mortadela kasza manna dżem (!)
spacer po parku
kaczkom rzucić trochę chleba
potem alejką do cmentarza
nad twoją mogiłę
nacieszyć się widokiem
skrawka
twojego
nieba...!

W TUNELU

Byłem z Marią w tunelu
nie pamiętam:
na trzeźwo
po wódce
po chmielu –
poszliśmy w stronę jasności
gdzie miał być właz
był bez krat
jeszcze nie doszliśmy
do śmierci lat...

Byłem z Maria w tunelu
nie my jedni
rzesze – tłumy - jak my (!)
właz był za plecami –
z krzykiem rozpacz
biegliśmy wspak
Maria młodsza ode mnie
w tyle zostałem –
nadszedł czas
mojej samotności
bogom za jej życie zapłata...

Na włączu
była
z
ludzkich
kości
KRATA...!!!

RYSA

Basia siedzi na podłodze
po rękach się drapie –
najprostsza z prostych diagnoza:
skaża białkowa (!)
Maria nie chce już patrzeć
mnie bolało serce i głowa...
ryb nie było na wigilię
ćwierć indyka w zastępstwie
smutek Marii
moja troska
Basi gloria w jej męstwie!

Minęły lata –
nie ma już mamy Marii
mnie głowa nadal boli
od nadmiaru miłości Kaliope
czasem Erato...
bywają skazy na kryształach
Barbara zapomniała
o dziecięcej przypadłości
w dni miesięcy lat nawale
czas wszystko wyrównał
czas wszystko naprościł (!)

Indyka też nie ma
zamiast karpia
skazy innych dopadają
etyczno – moralne (!)
Basia już Barbarą
oddaliła się Harpia
Maria cieszy się w niebie
mnie głowa nie boli –
nie dzięki JP II i Boboli...!!!

PRAWO WYBORU

Nie miałem wyboru:
nie chodzi o aromaty
o dobór snów
kształtów – kolorów
o deszczyk wiosenny
słońce latem na niebie
potem przepiękną tęczę –
nie miałem wyboru:
zobaczyłaś mnie
ja ciebie...

w kolejce do okulisty –
zrządzenie losu?
kolejka jest kolejką
fakt oczywisty (!)
weszliśmy razem
ja i ty
pani doktor wizję miała
że będziemy dla siebie –
skąd ona to wiedziała?!

daremne łzy – rozpacze – żale
odeszłaś
nie mam wyboru
od wczoraj
do
dalej...

FESTYN

Festyn!
w ogródkach działkowych
afisze na murze remizy
od kilku dobrych dni –
cieszyłem się:
pójdę z Marysią
na drugą randkę (!)
człowiek tym żył...
przyszedłem pod próg
trzech stopni do domu –
była – czekała
za plecami mama
oczy na czarno
usta w kolorze krwi
wykarykaturowana lala!
to było mgnienie
odruch – impuls barbara
sień – kran – woda
jej zaskoczenie i strach
mydło poszło w ruch –
ciche przekleństwo teściowej
z „karykatury” spłynął
życiowy krach...
poszliśmy –
tańczyła pierwszy raz
jak ja
szczuplutka mała
uczepiona mnie
cały czas na butach mi stała!

czy uwierzycie?
do końca była czysta
całe życie!



Maria z Bogdanem na działce dziadków
w Czechowicach Dziedzicach 1970 r.

OGRÓD RÓŻ

Zaprowadziłaś mnie do ogrodu
róż swoich pragnień i marzeń –
lalka leżała w kącie zapomniana
klocki babka spaliła
w mróz trzaskający
podziały się gdzieś pończochy
choć dziury miały na kolanach
umarł ptaszek w klatce -
zawsze w poniedziałek
wraz z czajnikiem pogwizdujący...
były barwy róż
zapachy
kolce nie kłujące
muszki bzykające wokół głów –
była cisza
znikąd szumu – szmeru
ludzkich słów
zrozumiałem:
błądziłem w ogrodzie róż
choć dość długo żyłem
na przekór złu (!)
w twoich oczach zobaczyłem
ten ogród wymyślony
piękniejszy od
boskich rajów stu!

obudziliśmy się z rana
za oknem wiatr i deszcz
to nie była mrzonka – iluzja
fatamorgana...

PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ LAT

Żyłś pięćdziesiąt sześć lat!
Bóg
kował ślepego losu
przeznaczenie
pech
zło mniejsze
potworne zło
świata globalnego
ludzi głupota
szatana alter ego
znieczulica bogactwa
niemoc nędzy
sąsiad z pierwszego piętra
ksiądz walący w dzwony
kiedy tylko mu się podoba
nie lubiana aktorka z ekranu
(odeszła zapomniana)
modlitwa gdy bieda:
hołoto na kolana!

I ty tego słuchałaś
przeżywałaś to każdego dnia
z „Radia Maryja” jątrzący syk (!)
do wczoraj
dopiął swego ten zbiorowy KAT –
wytrzymałaś to bagno
pięćdziesiąt sześć lat...!!!

STRACIŁEM GWIAZDĘ

Straciłem z oczu moją gwiazdę
nagle niespodzianie
może bezpowrotnie –
zaszła za komin betonowy
potem za drzewa w alei
dębowej w stronę zamku
pszczyńskiego z resztkami
puszczy prastarej z zubrami
na wyginieciu (!)
zobaczyłem ją na moment
skryła się znów raptem
za samolotem w stronę Czech –
chmury nadeszły od zachodu
burzowe – czarne – zimne
z rojem błyskawic i gromów...

do rana czekałem
nadleciał wichur dookolny
drzewa w pokłonie drżały –
potem cisza
wraz ze świtem słońce
niebo czyste w lazurze
moja gwiazda odeszła
wraz z tobą w lata świetlne (!)
wróci –
mnie już nie będzie
pójde cię szukać...!

OD POCZĄTKU DO KOŃCA

Każdy człowiek powinien:
raz się urodzić
pokochać bliźniego swego
posadzić jedno drzewo
znenawidzić zło
zaakceptować dobro
zjeść beczkę soli
dać światu potomka
napisać jeden wiersz
książkę
nie za opasłą o swoim życiu
które było ciągłym
rachunkiem sumienia –
na koniec przebaczenie
ludziom – samemu sobie
czekać na jutro
bez strachu o wielkich oczach...

każdy człowiek powinien:
być człowiekiem
od początku
do końca
jak ty...!

KARTKA DZIEWICZA

Znalazłem kartkę papieru
dziewiczą -
narysować na niej obraz?
napisać twierdzenie moje jakieś?
donos do pana Boga
na wszystkich i wszystko?
sentencję na koniec świata
mojego wymyślić?
wiersz wieszczy o wszystkim
o niczym napisać?
w fidybus zrolować ją
by świat swój podpalić?
zawinąć w nią śledzia
solonego?
schowałem przed stójkowym flaszkę
po stypie za ciebie...!

Napisałem w końcu na niej
z dużej litery: HELP!!!
zrobiłem małą łódeczkę
zwodowałem ją i w rejs
popłynęła przez ostatnią kałużę
po pierwszej powodzi
tysiąclecia...!!!

WIECZÓR

Zadrżały opuszki palców
niebo spłynęło za blisko –
klaustrofobia między zapachem
ziemi a ciszą kosmosu...
wyszedłem na chwilę z siebie
spokojny niemocą otwartych
myśli które jeszcze wczoraj
trwały uśpione w niepamięci...
na stole wazon z kwiatami
jeszcze zroszonymi
ostanie okruchy wiatru
w topoli za oknem
na gazie woda kipi na kawę –
nie ma czasu
ptak usiadł na stęsknionym
parapecie zielonym:
ten kolor jak trawa
sparzył mu łapki słońcem
sprzed południa...
niebo odeszło na swoje leże
ziemia pachnie wieczorem
chleb z pomidorem
na postną kolację
otuloną przytulnością pośłania –
klaustrofobia była pomyłką
opuszki palców już nie bolą
jutro będzie dzień
z nowym niebem
bez ciebie...!!!

FOTOGRAFIA

Fotografia podarta
na cztery –
minęło osiem lat –
to cień ery...
dłonie umarły (!)
nikt jej nie skleci
nastał czas ciszy
czas wygasania zawiei
nic nie zaleczy rany
duchy nasze uleciały do kniei...

fotografia podarta
na cztery!
w ostatnim dniu
zanim odeszłaś -
wspomnienia te nadal bolą:
zniszczyłaś obraz kobiety
z wyblakłą nad głową
złocistą aureolą...!!!

wiem dziś co to znaczy:
walka życie ze śmiercią
skończyła się ostatnim
AKTEM TWOJEJ ROZPACZY...!

KIERAT

Wypłowiwały sweter kleił się
do zmęczonego kręgosłupa (!)

Maria zrobiła kolację

obiad już był:

bułka z serem

piwo

pana majstrowe

szlag by to trafił

idę spać...

Wypłowiwały sweter klei się

bułka z serem piwo

szlag by to

majstra też

idę spać...

Wypłowiwały sen

mózg skołatany

klei się

do miazgi dnia wczorajszego

trzeba posmarować ten kierat

może ostatni raz

już bez Marii...!!!

WOLNO NAM

Wolno nam marzyć
o życiu co za krótkie
o ciszy mało cichej
o szczęściu co egoistyczne
o czasie zbyt szybkim
o spokoju sąsiadów zza ściany
o poduszce przytulance
pod głową pełnej marzeń
o sercu dalekim
kochającym...

wolno nam marzyć
o spełnieniu niespełnionego
o dobroci bez litości
o niebie czystym bez bomb
o ziemi lasów i rzek
o aromacie powietrza bez czadu
o duszy pełnej odwiecznego ładu
wiary – miłości – nadziei...

wolno było tobie i mnie
dziś tylko mnie...

JA I ŚWIAT

Umarła wybitność – tuz
świat płacze
bez płaczu ani rusz
kazali łzy ronić
więc świat roni niby kwaśny deszcz –
po plecach przebiegają ciarki
globalny dreszcz...
wybitność – tuza pogrzebali
wielcy stali się mocarniejsi
nie liczą się już wcale mali!

Umarła moja żona
nikt nie rozdzierał szat nad mogiłą
ja tylko płakałem – świat milczał
mój płacz i moja rozpacz
moją jedyną siłą...
ja tylko zawał przeżyłem
ja w puste niebo zamiast modłów
klątwy bez słów rzuciłem!

Świat milczał okrutnie
choć powinien przemówić
ból mojego krzykiem –
świat milczał
jestem przecież tylko nikim...!

KAŻDY MA

Każdy ma swój armageddon
w głowie sercu duszy
każdy ma swoją apokalipsę
życia śmierci Boga
ani to ziębi ani to grzeje
ani to wzruszy...
każdy ma swoją miłość
pierwszą ostatnią jedyną
tę co to nigdy nie rdzewieje
choć orkan burz i bólu
zdradziecko wokół niej wieje...
każdy ma w końcu siebie
gdy samotność doskwiera
gdy kręta droga do Nieba
w wieczność cię zabiera...
ty jesteś apokalipsą
ty jesteś armageddonem –
jeszcze tylko chwila na zdziwienie
i wszystko skończone...

SZUKAMY SENSU

Szukamy sensu życia
po stracie
naszej jedynej miłości
dwa metry pod ziemią
pod bratkami – wrzosem
nie wiemy jak tam się ma
zimno tylko czujemy
widzimy mrówki na nagrobku
kilka chwastów do wyrwania...
obok nas tacy jak my
też szukają sensu życia
na cmentarzu pełnym
kamiennych krzyży
zniczy płonących migocząco –
staruszka płacze
tęskni do śmierci
męża swojego który był...
trzeba dosypać ziemi
nagrobek się pochylił
podlać bratki –
schylone plecy bolą
bólom rozgrzeszenia...
szukamy sensu życia
nikt nie patrzy w niebo
w stronę gdzie Bóg
był może jeszcze wczoraj...



Oddech w Pszczyńskim parku po wilczym bilecie
w Czechowicach Dziedzicach
Trzy lata po banicji z Czechowic Dziedzic
Mama z Basią

DOM

Mam swój dom
tak stary jak ja
co do dnia –
podłoga – dach
jeden pokój – kuchenka
okno
drzwi zamknięte na głucho
za oknem widok
na
każdego dnia coś innego:
czasami ptak zabłąkany
niekiedy człowiek szukający
rzadko przyczłapie Bóg znudzony...

Dobrze mi w domu
w moim domu –
w mojej głowie
TY w pamięci...!

WYSUPLAM

Wysupłam spomiędzy zła ziarenka
dobra
a nuż przyjdzie ktoś...
pochowam stare fotografie
po co mają przypominać...
nie zapomnę tym razem
nakręcić starych zegarów
niech dalej kłamią
w swoim wielkim pozaczasie...
odkurzę krzyż wiszący od zawsze
obok gwiazdy dawidowej...
drzwi nie otworzę z
z siedmiu spustów...

nadeszło
moje
jutro
bez
ciebie...!!!

Wystarczy wyciągnąć rękę -
i już masz tom opasły mądrości
na niewiadome jutro pełne tajemnic...
wystarczy zamknąć zmęczone oczy -
przepływa przez ciebie spokój
o którym nie wiedziałaś...
wystarczy nie otwierać ust -
słów nie strzepisz na darmo
które nie wracają jak bumerang...
wystarczy przysłonić uszy -
i wchodzisz w bezkres ciszy
muzyki anielskiej w każdym kątku
moich wierszy pisanych
w tajemnicy przed bogami
i szatanem zabłąkanymi
w ludzkie życie...
wystarczy sercu dać ukojenie
duszy balsam z czystości
i czekać cierpliwie -
przyjdę do ciebie
na twoje dalekie
dla mnie tylko
WYSOKOŚCI...

JUTRO

Nabierzmy w osłabłe dłonie
wody z wysychających praźródeł...
podtrzymajmy ostatnią iskierkę
tłącej się jeszcze nadziei...
zachowajmy w pamięci widok nieba
odbitego w czerwonej kropli wina...
ochrońmy nasze oddechy przed burzą
nadciągającą z wszystkich stron...
poszukajmy zaschniętego nagietka
pomiędzy kartkami „Wielkiej Encyklopedii”...
przypomnijmy sobie słowa modlitwy
na „dzień dobry” i „dobranoc”...
odgrzejmy zastygłą z czasem miłość
do swej starzejącej się niemocy...
nie wyrzucajmy kromki
chleba spleśniałego do śmietnika...
puśćmy czasem krążek starej płyty
w ruch – niech trzeszczy muzyka...
otwórzmy okno – choć smród i fetor
kiszzonej kapusty mówi o biedzie...
poszukajmy zmęczonym wzrokiem dzieci
które nie są już rozbawione...
zetrzyjmy z brody ślinę ciekącą
na myśl o wszystkim co dobre...

to były nasze pragnienia
nasze wczoraj i dziś -
czekaj na mnie
przyjdę do ciebie z rana
JUTRO...!!!

Wieczorem umierałem ze zmęczenia
rano zły humor –
sen trwał tak krótko
sen bez snów...
patrzyłem na zbuntowany zegarek –
stał rozkraczył się
nad swoją gnuśną ciszą
przy popielniczce pełnej smrodu...
inni ludzie dawno już wyszli
zaganiać pieniądze i kłopoty
do pazernej gnuśnej zachłanności...
ja jeszcze czekałem –
wiedziałem to:
manna z nieba nie spadnie
cudem wiary - nadziei przygnana
z nowego i starego testamentu...

śmiesz się ze swojego
małego jak ty Nieba –
spotkamy się – obiecuję (!)
pogadamy sobie jak trzeba:
o naszych ludzkich ziemskich korzeniach
o tym jak każdego dnia wieczorem
umierałem ze zmęczenia...

TO TYLKO

Wiem:

to tylko utrudzenie życiem
widokiem zwiędłych sztucznych kwiatów
pełnych kurzu i niesmaku...

wiem:

to tylko okruczeństwo nadziei na
nie wiemy już co –
tak dawno radość była...

wiem:

to tylko próba ucieczki od
samego siebie w coś
czego jutro będziemy się bali...

wiem:

to tylko dusza na ramieniu
zamiast skrzydeł które mieliśmy
w chwili urodzenia...

wiem: ty zdążyłaś odlecieć
niczym Ikar bezpiecznie -
ja zabłądziłem
popadłem w ziemskie kłopoty...

ZA DŁUGO ŻYŁEM...!

CZŁOWIEK

Świat jest pełen ogrodów
z umierającymi kwiatami...
świat jest pełen domów
z umierającymi ludźmi...
świat jest pełen ludzi
z umierającymi duszami...
tylko czas jest ponadczasowy
jak śmierć poza zmartwychwstaniem...
jak Bóg pełen uczynków
boskich – niehumanicznych...

Człowiek –
to tylko mały kamień
w wielkim murze przeznaczenia:
trochę w nim myśli o niczym
trochę w nim mrzonek o wszystkim...
okruchy strachu o ostatni
błysk miłości spełnionej...
człowiek –
to tylko odprysk od kamienia
nagrobego rzucony na ołtarz -
ludzi się jeszcze:
ratunku szuka w modłach żarliwych
ciało i duszę zżerają dreszcze
pożąda rzeczy niemożliwe –
to co ludzkie - to co boskie
w egoistycznym zwidzie...

Już się nie boję (!)
przyjdę
Otwórz mi wieczności swej
podwoje...!

DZIURA DWUMETROWA

Odkryłem cię w gąszczu lian
ludzkich rąk
spojrzeń kosych
sumień
serc
kwaśnych oddechów –
odkryłem cię wylęknioną
na drodze do nikąd
na początku dziewiczym
twojego
mojego
pierworodnego grzechu...

Znalazłem dla ciebie drogę
ścieżkę bezpieczną wśród ludzi –
bez razów – klątw – przemocy
krzyk w nocy cię nie budził
nie uciekałaś szukać schronienia
w znieczulicy pomocy...
teraz rozumiem dlaczego
stróża anioła
Boga samego
niżej ceniłaś niż mnie –
oni nie dostrzegają ludzkiej nędzy
a dnem był nasz co drugi dzień...

Jakież czekało mnie doświadczenie
na wskroś ponure!
ukarali mnie srogo:
Bóg nie powołał cię do nieba
znalazł dla ciebie w ziemi
dwumetrową dziurę...!

DOBRE WYCHOWANIE

Powiedziałaś mi:
będę ci wierna aż do śmierci!
przysięga ta jakaś kaleka –
umarła po czterech dekadach
mogła powiedzieć o wiekach...
będę ci wierna póki życia –
to też logiki się nie trzyma
życie lubi nie mieć pokrycia
z winy matki - ojczyma
który po pysku wali cię co dnia
na obiad żur
na kolację w łeb
i bądź tu mądry człowieku
wierność z biedą i razami
w garść miłości szcep...
Bóg patrzy na to z góry
schowany za zielska w raju –
choć widok to zgoła ponury
śmieje się jak Polak na haju...
diabeł markotny
ze zmarszczonym troską czołem
stuka się w swój łeb rogaty:
kto tu większym matołem?!
szatanowi wolno bo blisko jest
z panem na wysokościach –
a ja najmniejszy gest
i czuję starość w kościach...
dlatego kończę wesoło:
dla wszystkich sympatię czuję –
żał mi Marii – samego siebie
Boga i szatana też żałuję...!

PARNAS ZDOBYTY

Kilka razy zabrałem Marię
na zdobywanie Parnasu
bez lin – haków – raków
weszliśmy razem na szczyt
dziś nie wiem jak
przy pomocy rymów – metafor
złotych myśli z patyną
z ostatnią bazą
w EPITAFIUM...!

„CUD PAMIĘCI” –
umysł pełen niezachwianej
w czystości swej wiary
doprowadził nasze kroki
do Kaliope –
musnęła mnie w czoło
swym boskim oddechem...
nic to że byłem stary
starość nie jest grzechem (!)

Maria została na Parnasie
jako służka Kaliope i Erato –
nie można sprzeciwiać się Muzom
nic nie poradziłem na to...
palcem wskazały w dół:
złaś nikczemny giaurze (!)
wara ci od świętości naszej
na Muz naszej
niebotycznej górze...!

MOŻNA ŚNIĆ

Można śnić
można marzyć
nie powrócą noce
w nicość odeszły dni
cóż może jeszcze się zdarzyć?
Mogła twoja
znicze wypalone
czekają na nowe lśnienie
ogników w mroku –
dzień po dniu
miesiąc po miesiącu
rok po roku...
można marzyć
wolno śnić –
pamięć żyje wiarą
ułuda karmi nadzieję
wiem:
muszę do końca z tym żyć
czasami łązy
niekiedy się śmieję -
zaparliśmy się łokciami
na ulicy Limanowskiego
po Czechowicach na kolanach
potem był Sznelowiec
wczoraj byłem kimś
dziś biedny poeta – wdowiec
życie moje
o, żesz ty...!

COŚ Z SZUFLADY

W szufladach biurka mojego
leżałaś między rymami
w metafor uścisku czułym
lata minęły –
kartki pisane dniami
dobrymi i złymi
nocami bezsennymi
wypadły wczoraj z ukrycia
przypadkiem –
zapomniałem o twoim świecie
zapisanym ukradkiem
od nowa odkryłem twoje imię
nie zapomniane...
pieszczę wzrokiem każde słowo
napoczęte zębem czasu -
to więcej niż fotografie
ze spacerów do pszczyńskiego lasu
bok w bok
twoja ręka w mojej dłoni...
żołędzie leciały z dębów
na głowy niespodzianie –
mówilem: spokojnie
dojdziemy do barku „pod zamkiem”
nic się nie stanie...
małe piwo – oranżada
ta sama powrotna droga
cisza spokój błogostan
chwyciliśmy pod nogi Boga...
po latach coś się załamało
runęło w pył co było –
złapać Boga pod nogi za mało (!)
życie ponad nami zawyło...

KLAUSTROFOBIA

Byłem raz tylko z tobą
w kinie –
nie wiedziałem o twojej
ukrytej klaustrofobii (!)
człowiek mądry dwa razy
tego samego błędu nie robi...
windą wjechaliśmy w górę
w szpitalu –
siódme piętro wysoko
leżałaś pół roku
nie z własnej woli
o jeden dzień za krótko
tak na moje oko...
po śpiączce czas przebudzenia:
insulina
bandaże – okłady
przetrwałaś najgorsze –
sąsiedzi pytali: czyja wina?
dałem sąsiadom spokój
nie chciałem zwady...
zeszliśmy na nogach z góry –
stopień po stopniu
spokojnie i cicho
na parterze odetchnęłaś
jak po marszu
przez pustynię długim...
nie popełniłem błędu
po raz drugi!

TWÓJ TRUD

Daremny był twój trud –
maleńka córka przed tobą
dreptała z małym wózekkiem
z jeszcze mniejszą lalką
na swoje podobieństwo
jak ty gdy chodzić się nauczyłaś ...
rosła z tobą
mądrzała pod twoim bokiem
gotować nauczyłaś
prać bieliznę
prasować – garnki myć
użyję tu skrótów myślowego:
nauczyłaś ją żyć...

teraz ciebie nie ma
zostałem sam –
córka w Germanii (!)
nie wiem:
córka to czy wielka pani?
wnuki są a jakże
dobrze odchowane
przyjadą raz na pięć lat
gadają po swojemu
ja po swojemu z nimi
jestem smutny – czemu?
otwarcie zaznaczam:
nie mam pieniędzy na tłumacza...

szczęście miałaś –
tego co ja
nie doczekałaś...!!!

PIERWSZY KROK

Uczyłaś chodzić Basię –
skręciłem ci pieluszkę na czworo
pachnącą jeszcze praniem
młodzi nie wiedzą gdzie ją dać
kazałem pod pachy
usłuchałaś
bo nie wiedzą tego młodzi
że pielucha nigdy nikomu
nie może zaszkodzić –
szłaś za nią pochylona
Basia jak żreback na kardanie
ciebie bolało w krzyżach
wiedziałaś:
jej nic się nie stanie...

finałem był stół kuchenny
kartka papieru – dwa klocki
kredki
wahała się czy to dla niej
ten świat nieznany
dar kolorowy...
ruszyła sama – poszła
zawahanie w środku połowy -
idź
to twoje
doszła...!

PUSTY STÓŁ

Pusty stół jest smutny
jak pustynia...
głodny człowiek jest zły
jak rozżalony Bóg...
dusza pełna urojonych grzechów
jest jak śmietnik na dworcu...
serce wyżęte z miłości
jest jak dziurawy bukłak...
twarz pożłobiona przez łzy
to twarz upadłego anioła...
lustro upstrzone przez czas
odbija maskę diabła...

Dalej nie mogę myśleć –
jestem głodny samego siebie...
jestem głodny Ciebie...!!!



Maria w szpitalu Pszczyńskim
(2000 r.) pod opieką córki Barbary
7 piętro u Ord. K. Jarczoka

NIECH DALEJ

Życie nie układa się w rymy –
wszystko boli i myśli jałowe
krzyczą w nas milczeniem słowem...
liczymy na palcach mijające godziny
i kłątwy lecące na głowę!

Odkładamy wszystko na potem –
gardło zaciska się na widok jadła
NIC dominuje w naszych zmysłach
w otępienie uciekamy – klamka zapadła (!)
nikt wczorajszego nie odzyska...

Bóg nam niczego nie wynagrodzi –
przyjmujemy wszystko jak leci...
pomilczeć krzykiem nie zaszkodzi
w puste niebo – ziemię cuchnącą
niech życie dalej się klei!

NAZBIERAŁEM

Nazbierałem całkiem dobrych myśli
tu i tam znalazłem kilka słów
na jeden jedyny wiersz –
teraz chcę mam skromną szczerą
kupić gdzieś tanio kartkę papieru
i jakieś nie tępe pióro...
usiąść przy starym biurku
wytrzeć kurz dookolny
co tak ponuro
rzuca na dom mój cień –
ale to jeszcze nie dziś
jeszcze nie ta chwila...
nie ten dzień
do wyplucia goryczy
po nieludzkiej śmierci „EM” ...!

JESZCZE MYŚL

Jeszcze myśl drzemie we mnie
nadzieją że coś się zmieni
że będę w końcu mógł
podejść do skraju przepaści
by mógł mnie ochronić Bóg –
nie ma go jeszcze w moich
doznaniach sprawdzonych
na własnej skórze...

Mam jeszcze co jeść...
mam jeszcze co pić...
mam jeszcze głowę gdzie złożyć...
więc czy jest sens samotnie żyć
ziemię przeklinać
niebu lżyć?
czy nie lepiej po śmierci
ciebie całuj
skłonić się i upokorzyć...?!

KOŁO SIĘ ZAMYKA

Koło się zamyka – co jest w tym kole
tego doszukiwać się nie wolę:
konglomerat dzieciństwa głodnego
rysik tabliczka do pisania
ziąb wstawiania porannego
przed czarnym ludem łkania
potem mało dobrego
wiele zła
nagle urodziło się moje ego
stałem się cieniem tła...
wreszcie psy życia
zaczęły kasać po nogach
nie wiem kiedy zacząłem wątpić
w życie – miłość – Boga
co to miał stać u mojego boku (!)
był – stał w buńczucznym rozkroku
o twarzy klechy co zbił mi pysk
za pytanie ciche o mój mikry zysk
z wiary w anioły – pacierze ciche
z uludy w moją pustą michę...!

Koło się zamyka – dziś inne czasy
porobiły się kliki klany klasy (!)
co pozostało?
wszystkiego mało i mało...
i wcale nie poczuję się wieszczem
gdy powiem że długo jeszcze
nic się nie zmieni
w duszach czarnych
w sercach z kamieni
bez CIEBIE!!!

ODLECIAŁAŚ

Nie chodzi mi o nawrócenie
o to że na łeb skołatany
z nieba leciały „kamienie” –
chodzi o sens szukany życia
z moim jestestwem i imieniem
co wadziło wszystkim
których kochałem
jeszcze do wczoraj!
Czy Bóg jest?! – wielu pyta
z głodu przy tym na zębach zgrzyta (!)
niebo pełne utopii i mrzonek –
pod niebem tym za chlebem ogonek
druga kolejka za tanią nadzieją
za darmo i na raty!
Z otwartych okien płyną zapachy
żuru kapusty i bluesa –
czarne miesza się z białym
zimne z gorącym...
wiatr rusza do ataku nagłego
przegania ptaki z naszych oczu –
odleciałaś razem z nimi...!
Potem zachodzi słońce -
głupieję całkiem od zmroku
do białego rana...
budzę się inny a taki sam
oderwany nieco od ziemi
która nie wiadomo czyja jest
od wczoraj - od dziś - od jutra...

DEDYKACJA

Niczego już co radością otulone
nie czuję –
duszą sercem zmysłami
zwracam się ku NICOŚCI
jej to dedykuję:
moją gorycz
wyssaną z mlekiem matki
pod gradem bomb
błogosławionych przez papieży (!)
moje zawiedzenie
moje zdziwienie
nad przepaścią że jeszcze
bez Marii trwam i jestem
choć Bóg moje kroki mierzy
swoim
Boskim
niehumanym
gestem...!!!

CZAS ZMARNOWANY

Marnotrawimy czas dany nam by żyć
w poczekalni do nieba albo piekła
może do nikąd w wierze w NIC
w nadziei na WSZYSTKO...
schody do wieży Babel zmurszały
wypadły szczeble z Dawidowej drabiny
podnosimy oczy zdziwione na
obwisłe nad nami chmury i stoimy...
coś zatrzymało nas wpół kroku –
jakiś cień w jaskrowatych oczach
kiedy słońce zaszło za granicę
zmęczenia dniem głodnym...
do dupy! – krzyczymy wulgarnie
co to za życie? – już nie pytamy
znamy odpowiedź:
dziesięć przykazań boskich kupionych
z przeceny na żydowskim targu...
kromka chleba ze smalcem na dzień dobry
kromka chleba z marmoladą na dobranoc
strach co jutro
strach co za plecami...
patrzemy w okno i obrzydzenie –
z kranu chlor zamiast wody -
chce nam się wszystkiego
chce nam się niczego...!
ja nawet wiersz chcę sklecić
wiersz! po co?
przecież nie jestem zwariowanym poetą
od siedmiu pieczęci
od siedmiu boleści...

dziś znicz zapalę nad twoją głową
znicz pamięci o twoim strachu
przed mrokiem...
diabeł ma maczugę i siarkę
bogowie mają bomby „A” –
ja mam zapałkę!

SYDROM GASNĄCEGO OGARKA

Oczy zamglone
pustym wzrokiem w niebo –
było czarne głębią doskonałą (!)
myśli umknęły w przerażenie
szukałaś we śnie
mojej dłoni
znalazłaś...
minuty upływały
sekundy
oddechy ból rozerwał
na jedno westchnienie

zjawił się anioł –
skrzydłem nakrył to co było
jeszcze tobą
dla mnie
dopiął swego:
wtłoczył cię
w spiralę syndromu
ogarka
gasnącego...!

SĄ LUDZIE

Są ludzie stworzeni z samego żalu
do całego świata – do całego nieba
za te modły nie wysłuchane
prośby nie spełnione
za te nadzieje obrócone w żalność
ułudy zmienione w głupotę
za te dreszcze nie spełnione...

palce bolą już od dotykania nieba
wargi spierzchnięte od cichych modłów –
serce tłoczy jeszcze krew do duszy
zmysły żyją w oczekiwaniu
na wybuch w mózgu poranionym
odradzającymi się nadziejami
na nie wiadomo już co...

my nazywamy to życiem
czekaniem na zbawienie
przez niezrozumiałego Boga (!)
my nazywamy to człowieczeństwem
tam gdzie człowieka już nie ma –

Bóg okradł cię ze słońca
by mógł zbudować
jeszcze jedną bombę „A” ...!!!

INWOKACJA

O Panie mój!
dlaczego ból zadajesz mi ślepotą żony mojej?
głuchotą zamkniętych przede mną drzwi...?!

O Panie mój!
nie skąpisz trwogi
przed każdym następnym dniem –
że braknie jadła
dachu nad głową
prostej drogi...!
Już się nie modłę – po co?
stałeś się demonem dla mojego udręczenia
znak twój krzyża rozpostarty
we mgle – w moim skowyczącym mózgu
kiedy na rozdrożu stoję rozdarty:
o ucieczce za Marią myślę

O Panie mój!
mówisz: nie odejdiesz
nie nadszedł na to twój czas –
twoje serce i dusza (mówisz)
muszą się zamienić w opar w głaz...!

NIE SCHRONIMY SIĘ

Nie schronimy się przed śmiercią
w najgłębszej piwnicy
budujemy co najwyżej bunkier
przeciwko samym sobie
w naszej małpiej mózgownicy...
otwieramy zakurzone okna
w poczekalni do przepelnionego
nieba dla naiwnych –
by przewietrzyć nasz strach
oddech kadzidlano – piwny...
cieszy się nasza dusza że i łyż
gotowe i kamienie nagrobne –
gotowe modły i grób schron...
pan Bóg palec swój wyciągnął
wrzasnął do ciebie:
WON!!!

CORAZ WIĘCEJ

Coraz więcej pustki w głowie
patrzę i nie wiem:
czy człowiek to człowiek?
czy cień tylko
w skrawku pamięci
wyrwanej z księgi życia skończonej?
czy słowa niesione przez wiatr
do mnie skierowane
czy do Boga?
tak potężne w swej wrogości
że zabość mogą jak ból doskonały...

Nie – to nie do mnie one wszystkie (!)
zostałem sam
jakże samotny
mały...

ZA WĘGŁEM

Stałem za węglem
spojrzałem w mrok –
tam nie było nic
tam było wszystko:
przeszłość teraźniejszość przyszłość
mur oparty o moje plecy
bolał zębem - dotykiem
w szczękaniu zębami
z trwogi klaustrofobicznej...!

odganiem od nóg psa (może to kot) –
zabłąkany jak ja
w poszukiwaniu samego siebie
w niepewności czasu
ukrytego w mrocznych witrażach
pustego kościoła
bez żadnego Boga
i bez ciebie od wczoraj!

DLATEGO MILCZĘ

Gardzić tobą nie mogę
za maluczki jestem –
dlatego milczę i cierpię
zatrwożenia cichym gestem (!)
spoglądam czasem w niebo puste
by nic nie zobaczyć...

oddaj mi moją część
straconych dni w wierze w ciebie
mogę samotrzeć dalej nieść
swoje życie o suchym chlebie –
nie będę skomlał o coś więcej
a w podzięce
zapomnę o krzywdach od urodzenia
o chorobie
o śmierci zbyt wczesnej mojej „EM”
o nadziejach – ułudach wymodlonych
które skończyły się złem –
chcę tylko tyle
nie myśli zrozpaczonych...!

to tylko słowa wyszeptane
przez na pół obłąkaną duszę –
chciałbym milczeć już do końca
ale ból swój wykrzyczeć muszę...!

PRZEPRASZAM

Przepraszam wszystkie bliskie i dalekie drogi
po których dreptałem
kiedy miałem cel i kiedy dokąd iść nie miałem...
przepraszam niebo puste i pełne gwiazd
ogłądane na trzeźwo i w malignie –
te błyskawice i gromy
po których nie każdy się dźwignie...
przepraszam piękno z którego drwiłem
w dni rozpaczby by nie zwariować –
kpiąc z ludzi i bogów żyłem
nie mogąc innym nic darować...
przepraszam brzydotę że jej nie dostrzegałem
tam gdzie cud graniczy z obłędem –
sam o potwornym wnętrzu filozofa grałem
nie wiedząc że jestem tylko boskim błędem...
przepraszam deszcz i ogień w nadmiarze
kiedy świat stawał do góry nogami
przepraszam myśli dobre i wraże
gdy sam na sam zostawaliśmy sami...
przepraszam Boga i diabła przepraszam –
otwieram serce i duszę moją
w gości obu serdecznie zapraszam
przyjdą jeśli się nie boją...
przepraszam wielkie nic i wielkie wszystko –
strumyk co wczoraj był rzeką
wygasłe przed laty ognisko
i ciebie ostatni z ostatnich człowieka...

O łaskę losu się napraszam:
moją Marię za jej śmierć
też przepraszam...!!!

TRAUMA

Najgorszy w twojej śmierci
był mój ból
łzy
potem zawał serca
na końcu rozpacz
wiele czerni odcieni –
by wszystko to znieść
bogów na jednego szatana
byłem zmuszony zamienić...
ksiądz nad mogiłą
wyklepał swoje formułki
wodą pokropił nie wiem po co
gorszy od Żyda choć bez jarmułki
noszonej na łysej głowie –
ale niech tam
on człowiek i Żyd człowiek (!)
Marii było obojętne
kto ją pogrzebie
w którego boga obrządku –
ból jest człowieczy
jeden
od ludzkości prapoczątków...
uśpione było moje
sumienie i alter ego –
nie (!)
ból nie był najgorszy
traumatyczna świadomość
że zostawiłaś
mnie
samego...!

CZAS WYBACZENIA

Wybaczyć nad grobem
niejednemu niejedno trzeba –
przecież patrzy na ludzi
właściciel ziemi i nieba
dusze łączą się w miłosierdziu
sumienie z letargu się budzi
serce kołacze w osierdziu
jak w klatce ze złota szczerego ...

współczucie
fałszywe czy prawdziwe
zgadnąć się nie da –
umarłaś...
nie rozsądzisz dobra i zła
swoją drogą prostą szłaś
do śmierci dnia (!)
niech rodzina się godzi
w chwilach bolesnych
na stypie – albo nie
tobie obojętne:
dobrze czy źle...?

przyjechała po latach
obejrzeć zwłoki Macierzy
rzucić garść piachu w twarz (!!!)
odwaga czy czelność –
któż zmierzy jej stan?
zięć nie przyjechał
wnuki
on przy rybkach – kanarkach
pociechy pilnowali
niemieckiego szwargotu nauki ...!

NA WÓZKU

Siedziałaś na wózku
ja pchałem –
pytałaś czy się krępuję?
nie
wstydu nie znałem...
różnych spotkaliśmy po drodze:
pijaka w przykopie
rowerzystę na gazie
dzieciaka na środku jezdni
inwalidę o jednej nodze (!)

spacer był nader sympatyczny
siedziałaś na wózku
jak królowa na tronie
nawet papież w lektykach (!)
ale ty chora
oni starcy...
już nie pytałaś czy się wstydzę
opowiedziałem ci wiernie
czego wokół nas nie było
co zaś widzę
za ciebie...

zauważyłem wszystko i wszystkich
prócz tego
którego nie było
w jego
boskim
niebie...!

MINEŁO OSIEM LAT

Minęło osiem lat –
ciekawe jak tam u ciebie
wszystko wygląda?
może poszłaś już do Nieba –
prześliznęłaś się ukradkiem
przez ucho wielbłąda...
święty Piotr może cię najął
do sprząwania – mycia garów -

mogłaś powstrzymać się w ostatniej chwili –
kto prosił cię do Nieba?
mówilem ci: ostrożnie
dowiedzieć się o tym i owym
tu i tam było trzeba...
weszłaś do ich pakamery
kuchennymi wrotami
teraz masz za swoje
świecisz z kąta zmywaka
niewidomymi oczami (!)
świętym nic nie przeszkadza
im wszystko jedno –
przecież całe życie byłaś moja
człowiekiem – kobietą (!)
dla nich tylko
duszyczką biedną...

ODPROWADZIŁAŚ MNIE

Wdzięczny ci jestem –
odprowadziłaś mnie do starości
z dobrym słowem
uśmiechem szczerym
potomkami
jakimi by nie byli
zrodzonymi z miłości...!
trzydzieści osiem lat
szliśmy ścieżkami życia
we mnie ty
ja w tobie
na dobre i na złe
w czas burz
w sielance spokoju
aż do wczoraj...

odprowadziłaś mnie
do progu samotności –
ja
jak nikczemnik
z woli Boga i szatana
zostałem ci furtkę uchyloną
w sam środek
WIECZNOŚCI...!!!



Autor jako osobisty lekarz rodzinny swojej żony
chorej na cukrzycę. 3.02.1996

DROGA

Dokąd prowadzi ta droga -
z śladami pustych słów nadziei?
pobocza krzyku obrosły niewiarą
w jeszcze jedno lepsze jutro!
koleiny coraz głębsze od łez
wielkiej beziły
kobiet które przeszły tędy
w poszukiwaniu utraconych dni...
czasami czyjś upadek przynosi
innym radość – że nie tylko oni
są tym ostatnimi!
czasami czyjaś rozpacz niesie ukojenie
w chwilach innych beziły –
bez względu na czystość sumień
wczoraj rozgrzeszonych od nowych
doznań i poniżeń...
wskazówki zegara przedzierają się
przez pajęczynę utkaną z chaosu –
patrzą ludzie w niebo gdzie rodzi się
nowa burza po ciszy wielkiej!
i nie szukają schronienia – po co?
wszędzie dopadnie ich świadomość klęski
po batalii z trwogą która
trzyma ich jeszcze przy życiu...!

Dokąd prowadzi ta droga –
wyrosła z czeluści zimnego poematu
poety czarnych przestrzeni nicości?
dokąd prowadzi ta droga –
zlepek myśli wąpiących w sens bytu
w dobroć serc - wieczność miłości
tej ostatniej iskiejki złudnej chwili
ostatniej godziny!

Nie umiem już normalnie żyć
pod starymi gwiazdami
w sąsiedztwie głupio uśmiechniętego
księżycy o nochalę pijanego furmana (!)
jedni mają za dużo
drudzy mają za mało
zdrowia – pieniędzy
wiary – nadziei...!

Nie umiem już normalnie żyć
o kromce chleba ze smalcem
łyku kawy zbożowej
ze wspólnego wodopoju biedaków...
jedni są lepsi
drudzy są gorsi
we władaniu – w umieraniu
w rodzeniu
we wszystkim i w niczym...!

Nie umiem już normalnie żyć
ze wspomnieniami o tobie
ze strachem: czy to tylko wspomnienia
bo jutro okaże się prawdą
drzemającą w korzeniach czasu
przyczajonego w otchłani oczekiwania
na wszystko najgorsze
co w nas – co w bóstwach
co w mrokach klaustrofobii
pomiędzy ślepymi krokami
od ściany do ściany
gruzów po szczęściu
w dzień twojej ucieczki
w wieczność enigmatyczną

SZLACHETNOŚĆ

Czy tworząc dobro
czy tworząc zło
jesteśmy o tyle szlachetniejsi
o ile dobro jest dobrem
o ile zło jest złem?

na szachownicy biało – czarnej
stawiamy los i przeznaczenie
by obnażeni rozpocząć batalię
o co – nie wiemy
skąd wiedzieć mamy

o co toczy się bój człowieczy
między życiem a śmiercią
między nocą a dniem
przegrałaś
ja z tobą...!

WYMARZYĆ ŚWIAT

Wymarzyć świat dobry – po co?
życie jest jak chwila u wodopoju:
gasimy pragnienie – zmywamy brud
aż nas silniejszy ktoś
nie odeгна kamieniem...

Wymarzyć ludzi dobrych – po co?
wszyscy są dobrzy
wszyscy są źli
bo wszyscy są ludźmi
jednego życia
jednej śmierci...

Wymarzyć marzenia dobre – po co?
sny ubrane w nasze zapomnienie
za wszystko wystarczą:
by wydrzeć z krtani krzyk –
skowyt zwierzęcia schwytanego
w sidła ułudy życia mgnienia
aż do śmierci...

JAK OŚMIORNICA

Jak ośmiornica oplata mackami
moją duszę –
jak ulewny zimny deszcz co brud
spłukuje z rąk i twarzy –
jak wiatr łązy osuszający
po bólu i trwodze –
jak promień słońca
na zbolącym grzbiecie –
jak ciemność rażąca oczy czernią
aż do krzyku –
jak cisza co muzykę udaje
Mozarta i Bacha –
jak czas płynący niszczyielsko
niespodzianie –
jak trwanie trzymające mnie
przy życiu –
jak chleb co złamał mój ostatni ząb
starego dziecka –
jak łyk wody pod upalnym niebem
ze wspomnień –
jak krew płynąca w żyłach
aż do zatracenia –
jak Twoja śmierć bolesna
u mojego boku –

dopadła
mnie
nostalgia...!

ODLATUJEMY

Czasem odlatujemy w krainę
dzieciństwa po kryjomu –
przed całym światem
i ogromem codziennych trosk
w zieleń łąk – piękno nieba
z białym chmurami
przed burzą
której baliśmy się wraz z matką
i nie chcemy powracać –
udajemy że to sen
a to tylko chwila złudzenia
ucieczka przed ludźmi
przed samymi sobą w świat
który umarł by nie powrócić
wraz z marzeniem
o spokojnej starości (!)
to tylko wąska ścieżka
pomiędzy nocą a dniem...
wczoraj a jutrem...
pomiędzy ciszą a krzykiem...
płaczem a uśmiechem...
pomiędzy bólem a szczęściem...
trwogą a rozkoszą...
pomiędzy dzieciństwem a starością...
życiem a śmiercią...!!!

Budzimy się drżący o świecie –
to był sen!
to była tylko walka myśli
dobrych i złych
o jutro które dla ciebie
nie nadeszło...

KAŻDY MÓJ NOWY WIERSZ

Każdy mój nowy wiersz – to blizny na dłoniach
które nigdy nie były ukrzyżowane –
to niedowierzanie w oczach
widzących za dużo i za mało –
to ból w sercu nawiedzonym niekiedy
dojmującą nadzieją –
to zawistne spojrzenia ludzi
dla których mnie nie ma –
to żal niewczesny mojego urodzenia
właśnie dziś a nie tysiąc lat temu
gdy ludzie byli jeszcze tylko sobą...!
Każdy mój nowy wiersz – to ja
zamknięty tajemnicą w sobie...
to ja rozlany lawą gasnącego
wulkanu niewiary...
to ja uwikłany w kokonie
czasu starzenia...
to ja poza sobą z rozerwanym łańcuchem
tajemnicy na zdziwionych skroniach...
Każdy mój nowy wiersz jest już stary
moją ucieczką od lustra –
jest już samotny ścianami w których trwam -
już jest niczym
moim trudem szukania sensu -
już jest strachem przed pustką
po Tobie...

Każdy mój nowy wiersz
oby nigdy się nie narodził!!!

DZIŚ DOSZEDŁEM

Dziś doszedłem do dna swej duszy
by znaleźć ogrom smutnej ciszy
uwikłanej w apatię...

Dziś doszedłem do źródła krzyku
gdzie rodzi się ludzka tragedia
dla uciechy bliźnich...

Dziś doszedłem do przedśionka głodu
poprzedzonego strachem o wstyd
żebrania u tych którzy wyprzedzili mnie
na drodze do dna...

Dziś doszedłem do myśli o szaleństwie
w którym szuka się azylu
jak zbity pies pod stołem bogacza –
wczoraj człowieka...

Dziś doszedłem do swojej jaźni –
potwór który wypelzł ze mnie
zesztywniał pod czarnym słońcem
by czmychnąć w przyziemne cierpienia
moich myśli...

Dziś doszedłem do dna! -
cisza i bezmyślność otuliły mnie
opiekuńczym skrzydłem...
nie - to jeszcze nie dno (!)
może jutro
kiedy odejdiesz...

POKŁOŃMY SIĘ

Pokłońmy się chmurom pięknie
które coraz czarniejsze –
schylony człowiek
nie bluźni niebu...

Pokłońmy się ziemi pięknie
która coraz zimniejsza -
od brudu – głodu
i znieczulicy...

Pokłońmy się bogom pięknie
którzy coraz dalsi -
od ludzi – życia
od siebie...

Pokłońmy się panom pięknie
zgięte karki dobrze się depcze –
nie widać oczu umierających
dzieci i starców...

SŁOŃCE PRAWDZIWE

Słońce
widzianego po gromach burzy
słońce
widziane przez czarne szkło
słońce
widziane przez strugi potu
słońce
widziane poprzez łyzy
słońce
widziane oczyma strachu
słońce
widziane przez kraty
słońce
widziane gdy serce boli
gdy człowiek milczy
i dobro od zła woli...
to tylko słońce
którego promień padł
na suchą kromkę chleba...
to tylko blask fałszywy
odbity od nędznego życia ...
to tylko błysk z otwartymi
na przestrzał modłami...
z wiatrem biedakom
prosto w oczy...
słońce prawdziwe
to słońce widziane
oczyma umierającej Marii
której Bóg ukradł oczy...!!!

TRZY PACIORKI RÓŻAŃCA

Najstraszniejszy był czas
przed twoim końcem (!)
zbierałaś oddechy delikatnie
głowę schylałaś w cień
jakby w ucieczce przed wiatrem
przed palącym słońcem
wdrapywałaś się na szczyty wysiłku
w chodzeniu krok po kroku
obok mebli i ścian
najgorzej było w porze posiłków
sam miałem gips na ręce –
ból nieporadności znam
patrzyłem na ciebie
z dnia na dzień
z rosnącą trwogą
widziałem twoje odchodzenie –
jak tak bogowie mogą
tam gdzie ludzie biedni prosić:
mściwie! bez litości!

nad ranem
w jednej dłoni ścisкалаś
bezwiednie moją dłoń –
doczekałaś we śnie
cichego końca swego:
w drugiej dłoni schowałaś
trzy paciorki różańca
mocą śmierci
w ostatnim tchnieniu
rozerwanego...!

MÓGLBYM ZBUDOWAĆ

Z kamieni które spadły z dalekiego nieba
na moją skołataną głowę
mógłbym zbudować pałac niesprawiedliwości...
Z nieszczęść i razów niespodzianych –
mógłbym zbudować krzyż dla
tysięcy judaszów...
Z nadziei i wiary w następny dzień
mógłbym zbudować dom
dla odrzuconych dzieci i starców...!
Za pieniądze rzucone na tacę
pazernego „pasterza”
od pokoleń do dziś
mógłbym stworzyć całkiem nową religię
dla ludzi biednych bez bóstw...
Ze słów nizanych na modlitwy
nie wysłuchane
mógłbym ukreślić sznur
dla tysięcy wisielców rodem z dna...!!!

DZIŚ ROZUMIEM

Dziś rozumiem ludzi pragnących śmierci –
tej ucieczki od zmęczenia bezsenssem
chaosem życia roztrwonionego
utopionego w rozpacz i łzach...
wszystko wali się w gruzy dookoła
myśli rozkojarzone szukają wyjścia
z potrzasku wiary i bluźnierstwa (!)
daremnie – to już nie jestem ja...
może kiedy starcem już będę
rozśmieszysz mnie ta płytka pustka
która okazała się życiem
złudnego sensu i złudnej pełni...
nic już nie wiemy – zmęczenie tylko
dojmujące paraliżem zacządza mózg –
czy zaświeci dla mnie słońce jeszcze
bez tej która stała się dla mnie
tchnieniem wiatru
ciszą po wrzasku świata
odżywczym deszczem...!

LUSTRO

Lustro popstrzone przez starzejące się
wraz ze mną moje muchy –
można o nim pisać całe poematy
tyle w nim twarzy umarłych
tyle w nim gestów zastygłych...
zegar ścienny z oderwaną wskazówką
patrzy na mnie z wyrzutem
jak na wariata który naprawdę
zatrzymał czas ku uciechu Boga –
tyle tu teraz kochających go
bardziej umarłych niż żywych dusz...
myśli oblepione zeschniętym błotem
jak stare buty leżące pod łóżkiem
czasami kopną ścierwa mózg podstępnie –
a to boli (!)
chcą jeszcze podnieść się do życia
po co?
dopiero jutro pójdę zapalić Marii
comiesięczny znicz za dwa złote...!

UJRZAŁEM

Ujrzałem dziś po raz pierwszy
boga nędzarzy
i boga bogaczy –
każdego z wielkiego osobna...
boga chorych maluczkich
i boga zdrowych skurwysynów...
boga krzyku rozpaczyny bezsilnej
i boga ekstazy zła demonicznego...
boga ciszy rezygnacji po utraconej nadziei
i boga niosącego złoto z swych kłach...
boga skowytu rozszarpanej nożem krtani
i boga chichotu pijanego kapelana
po capstrzyku w teatrze wojny...
boga suchego chleba ze śmietnika
i twojego boga który nie widział ciebie –
był ślepy i głuchy...!!!

ŻAL TYLKO

Nie jestem ojcem zadżumionym –
jestem ojcem oszukanym
przez wszystkich i wszystko co było
co jest – co będzie mną (!)
nie jestem panem życia niczyjego –
nawet moje życie warte NIC –
mniej niż nic do potęgi
wszystkich upadłych aniołów...

Żal tylko tkwi jeszcze we mnie
tłucze się kaskadą zwariowanej krwi
w struchlałym sercu że nie zdążę
na czas usłyszeć głosu –
głosu co przyjdzie prosić o przebaczenie (!)
za ból zadany przed wielu laty...
w nieświadomej ucieczce do
nędznego „prawdziwego” życia...!

Ja mogę jeszcze przebaczyć!
Maria nie zdążyła!

UCISZMY SIĘ

Uciszmy się! niech krzyczy wiatr –
tyle w nas wiary ile niewiary
że możemy jeszcze coś dla siebie
że musimy czego nie chcemy...

Pod zamroczonym dachem z chmur
szukamy ciepła – znajdujemy chłód (!)
pod słonecznym niebem w cichej jasności
czeka nas zmęczenie walką o siebie...

Głupie to życie! złe od początku -
zaczyna się od nazwiska i imienia
jałowe dni – nie lepsze noce
dopełniają co zostało z chaosu...

Kto z nas nie jest pijany ze strachu
że w końcu pożrą nas robaki
w domu z czterech dębowych desek
by przypodobać się swoim bogom...

NIGDY

Nigdy nie powracamy w to samo miejsce
nigdy nie powracamy w ten sam czas –
precyzyjnie zacieramy za sobą ślady
zazdrośni o swoje ścieżki do nieba...!

Jesteśmy śmiesznymi pajacami
z cieniami na opalonych murach
kościółów i więzień pospołu - na przemian
z głodem i sytością w ślepych oczach...!

Rzucamy kamieniami w „święte” grzesznice –
plwamy na bliskich serdecznych
robimy wszystko na przekór
by zasłużyć na człowieczą pokutę...!

Ból w krzyżu ostrzega za późno -
nie widzimy że słońce coraz czarniejsze (!)
mocy w nas tyle ile w zaschniętej kałuży
po przejściu przez nas życia na przestrzał...!

Ty byłaś ponad to – skromna moja tylko (!)
kochalaś raz wierzyłaś raz bez granic
jednym życiem – śmiercią jedną
z Bogiem – aniołem stróżem we mnie
w czasie
poza czasem
na wieczność...!

TWÓJ KRZYK

Zdławiony twój krzyk w połowie drogi
nadzieja odeszła w oka mgnieniu
wczoraj czara się przelała – ostygło serce
nie myślisz o swoim czystym sumieniu...

Gdzie oczy skieruję – mgła i ciemno –
myśli nie chcą odpłynąć w zapomnienie
życie ogarnia mnie aurą inną
niż moich bliskich i dalekich...

Boli! boli wszystko co przeżyłem
wczoraj dziś w przeszłości
amnezja zakrada się cichym szeptem
w zakamarki nienawiści i miłości...

Krew w żyłach ostyga powoli –
nie myślę już o winie i karze
jak drzewo usycham w pokorze (!)
pustka po Tobie tak mi każe...

RATUJĘ Z RUIN

Ratuję z ruin co jeszcze się da –
ocalić chcę resztkę płomienia
z popiołów gasnącego ogniska
choć otchłań kresu bliska...

Kogo mam przeklinać – kogo ganić
za ogrom nieszczęścia pokutnego?
kim gardzić za obłudę dobroci –
Boga? człowieka – którego?!

Nawet nadzieja zmienia się w wir
błazeńskich knowań histerii –
co zrobić by odejść w cień
do swoich uschniętych korzeni?

Koniec – kres nie wieńczący dzieła
pogruchotane myśli i kości (!)
po Twojej śmierci
przywaliła mnie przerażająca góra
Boga
niegodziwości...!!!

ODSZEDŁEM

Odezwij się –
przyszedłem do Ciebie
zmęczony życiem
ale przyszedłem...
cicho tu pusto
ptaków nie ma w gałęziach
usychających drzew –
jak tu smutno (!)
dziadek powłóczy nogami
zbiera stare ogarki
w brudnych zniczach:
śmietnik już pełny
obok płotu dziurawego...

nie ma już mć –
posłuchaj mnie:
po Twojej śmierci
nadszedł taki dzień
że odszedłem
od samego siebie –
czy powrócę
nie wiem
wiedzieć nie chcę...

nie szukam już sensu
życia i śmierci
po co
bez Ciebie...?!

DZIEŃ Z ŻYCIA

Dzień z życia –
który przywołać
z gąszczy pamięci
by powrócić
do smaku twoich warg
wiotkości ramion
drżenia palców
na mojej twarzy
szukających uśmiechu
ukrytego pod łzami...

serce –
to drapieżne zwierzę
w jaźni zranionej
słabością ponad miarę
wbija szpony w myśl
dopiero co zrodzoną
po oddechu ulgi
że nic co złe
nie trwa długo...

dzień z życia –
ostatni
twój
zadał kłam
temu co było
jest
będzie –
serce poległo w walce
z wiecznością...!

ZEW MORI

Mogę oczy zamknąć
na początku ścieżki do „EM” –
trafię (!)

serce – myśli:
drogowskazy bezbłędne
buty nie bolą na nogach
jak na początku...
znicze dwa
jeden dla Marii
drugi na wszelki wypadek
może bóg niewidomych
przygarnął jej duszę
zanim szatan nie wygrał jej
z Bogiem w pokera...!

Trzy mogiły dalej –
pies z pyskiem przytulonym
do świeżego kopczyka
obejrzał mnie podejrzliwie
tylko jeden raz (!)
nie był moim wrogiem
ja jego...
przyszedłem
on przede mną
ja do mojej pani
on do pana swojego –
wrócę za tydzień tą sama drogą
czy go zobaczę – może
jeśli teoria Darwina
sięga od człowieka
przez małpę
do psa...

GDYBY MOŻNA BYŁO

Gdyby można było
cofnąć lata
odpłynąć w inny przyjaźniejszy
światu i ludziom czas -
wziąłbym Marię
to co w niej kochane
najlepsze
nawet w jądro ziemi
w mgławicę gwiazd...
mógłbym diabłu oddać duszę
kość ogonową Darwinowi
iskrę Bożą spod znaku Pegaza
Morfeuszowi – niech ma
myśli marzenia
w pył skruszyć do końca
byleby Maria ze mną szła
pod niebem
z baldachimem ze słońca...

ślad zostałby po nas
w powietrzu
wodzie
ogniu
ziemi
choćbyśmy głusi byli
ślepi – niemi
ale w objęciach
swoich korzeni...

CRUX MEA LUX

Nie byłem twoim krzyżem –
światłem może byłem
chłonęłaś moją jasność
w szarości dni
niekiedy echem myśli
od miłości twojej się odbiłem
ty śniłaś o mnie
jam o tobie śnił...

splecione ręce w śnie
jak dwa łańcucha ogniwa –
czułem tętno twego serca
na szczycie myśli
na trosk dnia
ja czuwający jak Cyklop
ty swoją miłością żywa
od pierwszego kroku
na wieczności kobierca...

crux mea lux! –
jesteś...
choć pod zroszoną darnią
ze zniczem nad głową
zapalonym ręką drżącą (!)
myśli miłością twoją
w noc i w dzień się karmią
obraz twój w pamięci
samotność koją...
twoja śmierć moim życiem (!)
Bóg nic nie daje za darmo...

Nie umarłaś sama
Twój Bóg umarł z tobą...!!!

SŁOWO

Słowo – most:
spojrzenia
uśmiechy...
łzy –
radości chwile
smutku momenty...
ciche dni
noce przebaczenia...
narodziny dzieci
znajomych zgony...
krzyk
cisza...
niewiara
wiara...
nadzieja na jutro
lepsze niż dziś...
sens szukany
w zaułkach bezsensu...
pusta łódówka
przed chudą wypłatą...
lęk przed (potem ulga)
ostatnią ratą...

zawsze na końcu
było słowo
jak dwa brzegi łączący most
dzień dobry
dzień zły...
dziś mięso – tłusto (!)
jutro chudo – post...
ale zawsze z tobą!

słowo – między nami most
brzmi dziś jakże pusto...!!!

BRAKUJE

Brakuje twojego chodzenia
nocą – śpimy z nadzieją
na nowy dzień...
ptaki odleciały w gałęzie drzew
patrzą na twój cień za firanką –
łyk wody uspokaja myśli
oddechy nasze koją twój strach
ranek spokój przyniesie
myślisz nagle:
co na śniadanie?
co na obiad?
garnki puste w kredensie czekają
na twój gest napełniania
po brzegi
aż do przelania
jak czarę goryczy
chleb wypoczywa przed egzekucją
nożem ostrym jak ból –
kawa zbożowa udaje łan
falujący nadaremnie
utopisz ją we wrzątku
niech no tylko słońce wstanie
wreszcie (!)
brakuje nam twojego cienia
w naszych oczach
po przebudzeniu
do nowych złudzeń...

WSZYSTKO BYŁO

Wszystko było w nas
po raz pierwszy
dziewiczy:
urodzenie
spojrzenie pierwsze
z błyskiem miłości w źrenicach
zrozumienie serc wzajemne
i zgoda po raz pierwszy
na życie niespodziane
w nurtach dnia każdego
i nocy głębi czarnej...

Wszystko było w nas
po raz ostatni (!)
czas dokonany
w kokonie teraźniejszości
gdy umierała miłość
w źrenicach oniemiałych
z oddechem ulgi
po bólu dni przetrwanych
i nocy
bogom ukradzionych w grzechach
ludzkich
ostatnich z przekory
bez pokuty...

Wszystko
było...!!!

ŚWIĘTE DNO

Czy jest ci tam dobrze?
w tym Niebie o którym
nie wiem nic –
a może gorzej niż ze mną
w ziemskiej szarości...(!)
za dużo tam miłosierdzia
ludzi zabłąkanych z nikąd...
oczy twoje nie nawykły do jasności
złota witraży – aureoli odźwiernego
dla establishmentu –
czy ta cisza nie poraża zmysłów?
gorsza od ziemskiego chaosu - zamętu...

Czy jesteś tam szczęśliwa?
bez dotyku mojej dłoni
bez oddechu mojego w twoich włosach (!)
pamiętam:
była noc – drzwi na głucho
ukojenia chwile...
do snu twojego wtargnęło ZŁO
ostatnie tchnienie skradło
z westchnieniem ulgi –
ja zostałem
ty odeszłaś bez słowa
po krótkim życiu...
czekało cierpliwie na ciebie
gdzieś w przestrzeni
uświęcone cierpieniem dno

W Piekle czy w Niebie...?!!!

DZIEŃ

Był dzień -
jak co dzień każdego dnia
słońce w koronach drzew
ptaki tuliło opiekuńczo
cisza...
na niebie chmurki
jedna nad drugą
samolot srebrny w tle
ciągnął nić pajęczą nieśmiało...

potem przyszła znienacka
ona – śmierć
z rąk wyjęła ci delikatnie
ścierkę w słoneczniki
do wycierania prochu – kurzu
z którego ty
na podobieństwo...
pognała na poniewierkę
w daleką wieczność (!)

nas zostawiła
z ciszą grobową
w otoczce znieczulicy
w apatii uśpionej
przed jutrzejszą burzą...
był dzień –
jednej śmierci
jednego bólu
dzień
który
trwa...!!!

DNO

Kiedy nie ma co jeść
nie myśli się o wierszach -
o głodzie – niemocy myśl zła
choć nie pierwsza (!)
przed oczyma dobroć bliźniego
miłosierdzie boga urojonego
w głowie świta coś o znieczulicy
potem kawał sznura z pętlą
dobrze namydlonego
i dylemat:
na strychu (?)
może lepiej w piwnicy...!

Ratunkiem myśl ostatnia
w swej wyrazistości czysta:
(nie za głęboko się ukryła)
żał tych co ze mną zostali (!)
dobrze że Maria
owych doświadczeń dennych
w imieniu szatana
za przyzwoleniem Boga sytych
nie
dożyła...!!!

DRZWI DO...

Otwieram serce sumienie oczy –
świat gnany apokalipsą noblistów
w zakamarki niewiadomego
cichaczem po kryjomu zboczył...
mamy się dobrze
pomacasz – źle (!)
nagrody wzięli za co (?)
cholera wie

jeden że życie jest życie zamiauczał
drugi łyk powietrza złapał ze smogu...
trzeci że woda to woda
(łapy w kałuży zamaczał)
czwarty zdradził samego siebie
nie uznał za swoje gacha rogów...

otwieram się na świat
na ludzi na bogów
w skorumpowanym Niebie (!)
patrzę w lustro
jakieś ślepieia wlepione we mnie:
mam oczy – czoło – nos i jeszcze
coś wokół mnie
fluidy złowieszczo roztacza z nędzy i...
dobrze że to tylko sen –
nie trzeba życiu
otwierać serca – sumienia
oczu niewidomych
do śmierci drzwi...!

TO I OWO

Mam swoje to i owo –
myśli o wszystkim
ułudy o niczym
mądre lub głupie
gest – słowo
adresowane do wszystkich
przeważnie do nikogo...
mam swoją własną
każdego dnia inną modlitwę
odkąd odszedłem na bok cichaczem
by napluć na zło
na splugawioną sitwę... (!)
mam swoją własną nadzieję
że nic nie znaczę
bez tej która odeszła
zabierając swój cień –
zostawiła mi ból
w oczach moich mrok
w sercu lęki - rozpacz...(!)

Mam swoje własne to i owo –
imię Twoje wyryte w kamieniu
płomyk świecy migocący
gdy pamięć doskwiera...

Ty umarłaś – odeszłaś
ja – moje własne to i owo
każdego dnia za Tobą
odchodzi podąża śladem -
umieram... (!)
pieczęć przyzwolenia
śmierci na podółku kładę...!

WSCHÓD SŁOŃCA

Wyszedłem na wieżę
pełną dzwonów nad ranem –
dachy domów uśpionych
rzeka pode mną
z oddechem cichym szuwarów...
mosty między brzegami
kominy dymiące
coś jakby Wenus mignęła –
to już (!)
pierwszy promyk spoza parnej nocy
ciekawość wschodu
odeszła jak się narodziła...

wieża uwolniła mnie
ze swoich objęć...
z dziurawego chodnika
wschód słońca taki sam
bez aureoli boskości wydumanej

iskierka oślepiająca (!)
to byłeś Ty
przyszłaś zza horyzontu do mnie
jak każdego dnia –
wiem:
kiedy wiatr i deszcz
nie ma cię – płaczesz
a mnie serce boli
nawet we śnie...!

EPITAFIUM MOJE

Chciał czegoś wiekopomnego dokonać –
dobrze się urodzić
jeszcze lepiej skonać –
na dwoje babka wróżyła
pił od czasu do czasu
szlachetność płynęła w jego żyłach...
doczołgał się do Parnasu
w długach tonął co rusz –
Kaliope w końcu go odkryła
ale wkurzali go Kaddafi i Bush (!)

wiersze - satyrę smażył
na patelni ukradzonej Papuszy
i wiecie co – on świat tym zachwycił
powiem więcej: wzruszył
mówił prawdę nieodpartą
sprzeciwił się bogom
nie podarował czartom –
mniej był wart anioł stróż
niż pies ogrodnika z ogrodu róż...!

i jak się z nim skończyło?
rymy zostały
zło w końcu trafił szlag –
serce córki Barbary
do urny go włożyło (!!!)
on tak chciał:
w urnie na wieki
czuć ziemi smak...!

NASZA WENUS

Pamiętasz –
byliśmy na tej gwieździe
kupionej na odpuszcie
za dwa ostatnie złote –
na kocu
przytulona liczyłaś lata świetlne
do naszego szczęścia...
potem był poranek
dzień
miesiąc
rok –
między nami ona
nazwana po Ewie jej imieniem
z oczami wtopionymi
w niebo gwieździste...
pamiętasz –
Wenus wschodziła na ranem
i kos pierwszy śpiewał
gdy szedłem zdobywać
grosze na chleb...
zdrożały gwiazdy za dwa złote
odpusty odeszły w zapomnienie
obudził się bogów gniew...(!)

pamiętasz –
byliśmy na tej gwieździe
której już nie ma...



Samotność po śmierci Marii
Pszczynski park - karmienie kaczek
Domatorstwo - nieprzerwana
Twórczość poetycka.
Domatorstwo - azyl w ciszy!

Spis treści

Początek.....	5
Wolanie w ciemności.....	6
Razem.....	7
Zapomniałem.....	8
Wieko nieba.....	9
Erotyk prawie doskonały.....	10
Głębia odnaleziona.....	11
Kidnaper nieboski.....	12
W środku nocy.....	13
Taniec życia.....	14
Dotyk.....	15
W cieniu ciszy.....	16
Krotka wizyta.....	17
Jom Kippur.....	18
Idziemy.....	19
Mój Bóg.....	20
Fosa	21
Abraham.....	22
Tworzenie.....	23
Nie zabierajcie.....	24
Ślub cywilny.....	25
W połowie drogi.....	26
Dwa światy.....	27
Miałem Ciebie.....	28
Wiem.....	29
Twój strach.....	30
Niech jasność się stanie.....	31
Trwanie w mroku.....	32
Wczoraj.....	33
Rozmowa z cieniem.....	34
Byłaś dla mnie.....	35
Erotyk - memento mori.....	36
Krtań zdławiona.....	37
Dzień za dniem.....	38
Oczy pełne nieba.....	39
Mówiłaś.....	40

Jesteś.....	41
Nie ma cię.....	42
Wizyta po północy.....	43
Modlitwa.....	44
Ulica dolna.....	45
Obrączki z tombaku.....	46
Całymi dniami.....	47
Bez daty od... do	48
Najboleśniej.....	49
Szukanie światła.....	50
Żeglowanie ku ciszy.....	51
Historia prawdziwa rodziny.....	52
***	53
Erotyk niewinny.....	54
Zimny dotyk śmierci.....	55
Bezsilność.....	56
Jak smakuje.....	57
Nadchodzi.....	58
Nikt.....	59
Każda dusza.....	60
Majówki nad Wisłą.....	61
To ja - To ty.....	62
Rzeka naszego czasu.....	63
Mój dom.....	64
Spacer.....	65
Pamięć.....	66
Jej dusza.....	67
Ktoś mówił.....	68
Wąska ścieżka.....	69
Na szczycie.....	70
Po burzy.....	71
Nie dotykaj.....	72
Chciałbym.....	73
Wendetta.....	74
Wyrok.....	75
Jedno ogniwo.....	76

Wiersz kulinarny.....	77
Równa mnie.....	78
Nad mogiłą.....	79
Wspominam.....	80
Ostatnia kąpiel.....	81
Olśnienie.....	82
Ciosam toporem.....	83
W „Irysie”.....	84
Od początku.....	85
Skrawek nieba.....	86
W tunelu.....	87
Rysa.....	88
Prawo wyboru.....	89
Festyn.....	90
Ogród róż.....	91
Pięćdziesiąt sześć lat.....	92
Straciłem gwiazdę.....	93
Od początku do końca.....	94
Kartka dziewicza.....	95
Wieczór.....	96
Fotografia.....	97
Kierat.....	98
Wolno nam.....	99
Ja i świat.....	100
Każdy ma.....	101
Szukamy sensu.....	102
Dom.....	103
Wysupłam.....	104
***.....	105
Jutro.....	106
***.....	107
To tylko.....	108
Człowiek.....	109
Dziura dwumetrowa.....	110
Dobre wychowanie.....	111
Parnas zdobyty.....	112

Można śnić.....	113
Coś z szuflady.....	114
Klaustrofobia.....	115
Twój trud.....	116
Pierwszy krok.....	117
Pusty stół.....	118
Niech dalej.....	119
Nazbierałem.....	120
Jeszcze myśl.....	121
Koło się zamyka.....	122
Odleciałaś.....	123
Dedykacja.....	124
Czas zmarnowany.....	125
Syndrom gasnącego ogarka.....	126
Są ludzie.....	127
Inwokacja.....	128
Nie schronimy się.....	129
Coraz więcej.....	130
Za węglem.....	131
Dlatego milczę.....	132
Przepraszam.....	133
Trauma.....	134
Czas wybaczenia.....	135
Na wózku.....	136
Minęło osiem lat.....	137
Odprowadziłaś mnie.....	138
Droga.....	139
***	140
Szlachetność.....	141
Wymarzyć świat.....	142
Jak ośmiornica.....	143
Odlatujemy.....	144
Każdy mój nowy wiersz.....	145
Dziś doszedłem.....	146
Pokłońmy się.....	147
Słońce prawdziwe.....	148

Trzy paciorki różańca.....	149
Mógłbym zbudować.....	150
Dziś rozumiem.....	151
Lustro.....	152
Ujrzałem.....	153
Żal tylko.....	154
Uciszymy się.....	155
Nigdy.....	156
Twój krzyk.....	157
Ratuję z ruin.....	158
Odszedłem.....	159
Dzień z życia.....	160
Zew mori.....	161
Gdyby można było.....	162
Crux mea lux.....	163
Słowo.....	164
Brakuje.....	165
Wszystko było.....	166
Święte dno.....	167
Dzień.....	168
Dno.....	169
Drzwi do.....	170
To i owo.....	171
Wschód słońca.....	172
Epitafium moje.....	173
Nasza Wenus.....	174



*... epitafium ku pamięci najbliższej Osoby,
to zbiór tysięcy pytań egzystencjalnych,
na które autor nie oczekuje odpowiedzi.
To dojrzały zbiór wierszy,
w których zmierza ku doskonałości,
wiedząc, że tej doskonałości nie osiągnie,
tak jak człowiek zmierzający ku doskonałości Boga,
godzi się z faktem, że jest ona nieosiągalna.
Jednak powstaje w człowieku wewnętrzny impuls,
który jest u Henryka ciągłym bodźcem do życia,
pocziwego życia ...*

Leszek Spyra